

RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

2/123

2013 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 2 (123) 2013 Rok wyd. XXII • Cena 7,00 zł (w tym 5% VAT)



Marek BALICKI

**Wiedza, doświadczenie,
odwaga myślenia**

czytaj s. 11

KOMENTARZE

- Wyrok sędziego Tulei
- Abdykacja Benedykta XVI
- Pamięci prymasa Józefa Glempa
- Droga Polski do euro
- DOŚWIADCZENIE TOLERANCJI.
Rozmowa z prof. Jerzym J. WIATREM

W KRĘGU LUDZKICH SPRAW

- Jan DĘBOWSKI o wartości przyjaźni
Marek BALICKI o dylematach polskiej
służby zdrowia (Rozmowa)
Lech OSTASZ. Myśli o dobrej śmierci
od Sokratesa do Christiana Barnarda

ŚWIADECTWA

- Zenona MACUŻANKA o wielkich
biografiach
Jerzy ŁADYKA o szczęściu

SCENA MIĘDZYNARODOWA

- Zbigniew WIKTOR
Za chińskim murem
Daniel ZBYTEK
Amerykańskie przemiany społeczne

Ponadto w numerze:

- Edward A. MIERZWA o Jezusie
Chryście inaczej;
FORUM
FILOZOFICZNO-LITERACKIE;
WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM;
Kronika

Spis treści

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

Zespół „RES HUMANA”
Wyrok sędziego Igora Tulei /1
Radosław S. CZARNECKI
Abdykacja Benedykta XVI/2
Władysław LORANC
Pamięci prymasa Józefa Glempa/3
Longin PASTUSIAK
W drodze do Euro/4
Doświadczenie tolerancji
Rozmowa z prof. Jerzym J. WIATREM/5

W KRĘGU LUDZKICH SPRAW I WARTOŚCI

Jan DĘBOWSKI
Wartość przyjaźni/7
O POLSKIEJ SŁUŻBIE ZDROWIA:
DIAGNOZIE STANU I ŚRODKACH TERAPII
z dr Markiem BALICKIM
rozmawiają Waclawa MIELEWCZYK
i Zdzisław SŁOWIK/11
Lech OSTASZ
MYŚLI O DOBREJ ŚMIERCI: od Sokratesa do
Christiana Barnarda/14

ŚWIADECTWA

Zenona MACUŻANKA
W kręgu wielkich biografii/19
Jerzy ŁADYKA
Dziwność świata i szczęście/24
Wojciech DOMOSŁAWSKI
Jeszcze raz o Krasnogrudzie/27

SCENA MIĘDZYNARODOWA

Zbigniew WIKTOR
Za chińskim murem (Po zjeździe partii
rządzącej)/31

Daniel S. ZBYTEK
Amerykańskie przemiany społeczne/34

DZIEJE JEZUSA

Edward A. MIERZWA
JEZUS: widziany inaczej (Cz. III)/38

FORUM

FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA
Zatrważający brak bezinteresowności/41
Eugeniusz KABATC
Tajemnice Marii eSZ./42
Wacław SADKOWSKI
Na rozdrożu - w bezdroża?/44

WŚRÓD KSIĄŻEK

Zdzisław SŁOWIK
Gorycz i troska/47
Eugeniusz KABATC
Konstelacje Stanisława Leopolda B./48
Władysław LORANC
Pamięć i świadectwo/51

W CZASOPISMACH

Wybór i opracowanie
Ksawery S. PIWOCKI/52

KRONIKA/III s. okł.

Z obrad Prezydium Rady Krajowej TKŚ



REDAKCJA: Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI, Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Waclawa MIELEWCZYK - sekretarz redakcji, Lech M. NIJAKOWSKI, Wacław SADKOWSKI - z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK - redaktor naczelny, Dionizy TANALSKI, Zbigniew WOJTKOWIAK, Daniel S. ZBYTEK.

ADRES REDAKCJI: 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69. **E-mail:** reshumana@tlen.pl

WYDAWCA: Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.
www.kulturaswiecka.pl

Druk: Drukarnia ACAD w Józefowie.

FAKTY WYDARZENIA OPINIE

Wyrok sędziego Igora Tulei

Wyrok w sprawie dr G., ogłoszony w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej w warszawskim Sądzie Okręgowym przez sędziego Igora Tuleyę, byłby w istocie banalny, bo dotyczący błahych w końcu „dowodów wdzięczności” przyjętych od pacjentów przez skądinąd wybitnego kardiochirurga i dyskusyjny w rozumieniu granic pomiędzy owymi „dowodami wdzięczności” a łapówką, czyli już czynem karalnym, gdyby nie okoliczności, które go wykreowały. To właśnie te okoliczności sprawiły, że stał się głośny i ważny w wielu doniosłych wymiarach.

Nie ma potrzeby na tym miejscu przypominać tych wszystkich nikczemnych działań podjętych w sprawie dr G. przez władze polityczne i policyjne w czasie dwuletnich rządów Jarosława Kaczyńskiego, ale choć nie ma potrzeby ich przypomnienia, to nie znaczy, że mamy o nich zapomnieć. Wszystko wskazuje, co stwierdzamy z wielką goryczą, że władze III RP, wskutek kunktatorstwa, albo tchórzostwa wytworzyły sytuację, w której bliski już tylko krok do zapomnienia o działaniach, które głęboko zraniły poczucie sprawiedliwości i wartości demokratyczne.

Jest aktem wielkiej zawodowej, obywatelskiej i po prostu ludzkiej odwagi sędziego Igora Tulei to, że orzekając w sprawie dr G. nie zapomniał o okolicznościach tej sprawy, powiedział, że podjęte wówczas działania organów prokuratorsko-policyjnych były na tyle drastyczne i perfidne w wymiarze polityczno-propagandowym, że nie mogły się nie skojarzyć z metodami czasów stalinowskich. Te mocne i twarde słowa wypowiedział w imieniu Rzeczypospolitej sędzia Sądu Okręgowego; nie wypowiedzieli ich, a wypowiedzieć powinni, politycy, właściwe organy parlamentu, czy w końcu Trybunał Stanu. Wszystkie następstwa tego milczenia polityków wzięł na siebie sędzia Igor Tuleya, nie zdając sobie zapewne sprawy z burzy, jaką wywołał.

Nie chciał jej sam wywołać, bo wypowiedziane słowa o metodach wydawały się mu się słuszone słowami oczywistymi, lecz nie przewidział, że odezwą się nożyce. A odezwaly się z wyjątkową furią, słowami nikczemnymi, godzącymi już nie tylko w osobę sędziego, ale w niezawisły sąd, w konstytucyjny i prawny porządek państwa. To oni, Zbigniew Ziobro i Mariusz Kamiński, filary IV RP, pokazali raz jeszcze do czego byli i są nadal zdolni: w imię ślepej nienawiści do wszystkich, których sami uznają za wrogów, gotowi są stosować wszystkie środki, aby wrogów tych usuwać ze swego pełnej pychy dążenia do władzy, niczym nieograniczonej, sprzecznej z porządkiem demokratycznym, który traktują wyłącznie za parawan.

Tej furii nie ma się w istocie czego dziwić, bo w sposób oczywisty ukazuje ich strach, a zarazem tchórzostwo; ukazuje też ich pewnego rodzaju rozsądek, nakazujący im sięgnąć po instrument tyle stary, co niemądry: uznać atak za najlepszą formę obrony. Ukazali mimowolnie swój intelektualny i moralny horyzont.

Dobrze, że w tej atmosferze nagonki sędzia nie został sam. Pomijając niezręczne wypowiedzi ministra Sprawiedliwości, a nawet – wypowiedziane formalnie w swoim własnym imieniu – prezesa Sądu Najwyższego, nie mówiąc oczywiście o prawicowych politykach i mediach, w obronie niezawisłości i godności sędziego Igora Tulei wypowiedziała się dobitnie Krajowa Rada Sądownictwa oraz stowarzyszenie sędziowskie – „Iustitia”, i nie mniej dobitnie prezes Trybunału Konstytucyjnego oraz wiele wybitnych osobistości spośród polityków, prawników czy mediów.

Sędzia Igor Tuleya zdecydował, poza ogłoszeniem wyroku i jego uzasadnieniem, wystąpić do obecnych szefów CBA oraz warszawskiej prokuratury okręgowej z przekazaniem im zastrzeżeń co do rażącego naruszenia wielu istotnych procedur przez podległe im służby; wystąpił, aby to, co się stało pięć lat temu nie powtórzyło się już nigdy; wystąpił kierując się najwyższymi wartościami, jakimi powinien kierować się niezawisły sędzia. W dniu, w którym piszemy te słowa, ukazała się informacja, że prokuratura, odmiennie niż sędzia, uważa, że zatrzymania i nocne przesłuchiwanie podejrzanych w sprawie dr G. nie były „rażącym naruszeniem procedury karnej”, i co więcej, prokuratura ta – a to brzmi już nieprawdopodobnie – wezwała sędziego na przesłuchanie w tej sprawie. Już sama myśl o wezwaniu, ujawnia groźne zjawiska chorobowe, na które cierpi polska prokuratura, niezależnie, jak widać, od stopnia jej autonomii.

Polska demokracja i jej państwo stają oto wobec pilnego zadania: stanowczego rozliczenia tego zła, które mu wyrządzono i sprawiedliwego osądzenia jego sprawców. To najważniejszy wniosek, jaki wypływa z postanowienia sędziego Igora Tulei. Tym postanowieniem wzbudził nasz najgłębszy szacunek.

Zespół „RES HUMANA”

Abdykacja Benedykta XVI

Decyzja o ustąpieniu podjęta przez Benedykta XVI wywołała konsternację i zaskoczenie w świecie mediów, specjalistów-watykanologów, duchowieństwa, wiernych. Ten szok jest wielopłaszczyznowy – ze względu na swój wymiar: personalny, moralny, religijny, prawny i eklezjalno-eschatologiczny. Od ponad 700 lat nie było takiego precedensu, aby urzędujący Następca św. Piotra, biskup Rzymu, dobrowolnie ustępował z zajmowanego stanowiska. W końcu XIII wieku, kiedy to podobne wydarzenie miało miejsce (uczynił tak po niespełna dziewięćmiesięcznym pontyfikacie Celestyn V w 1294 r.), sytuacja była jednak diametralnie różna. Piotr z Murone (Celestyn V), mąż święty (jak go określali współcześni), eremita, do którego podążały pielgrzymki wiernych, żyjący w rozpadlinach i jaskiniach Abruzzów, został wybrany na papieża przez kardynałów zgromadzonych na konklawe w Perugii po dwuletnich targach, jako „*odnowiciel i nadzieja*” Kościoła. Piotr z Murone uosabiał wiarę w odmianę stylu i modelu funkcjonowania Kościoła: był żywym świadectwem wielkiego ruchu mendykancko-jałmużniczego (tak wpływowego w społeczności schyłkowego Średniowiecza). Ale też ten 80-letni duchowny siłą wciągnięty w kulisy polityki światowej zrzekł się urzędu przerażony i zgorzony przepychem, luksusami, zbyt kownym życiem hierarchii, wszechobecną symonią i nepotyzmem.

Nadzieje i żądania ubogiego stylu sprawowania posługi kapłańskiej, przybliżenia katolicyzmu ludowi (coś na kształt pojęcia współczesnego „Ludu Bożego”) było na tyle powszechne co niezwykle pożądane. Krytyka bogatego, wyalienowanego od potrzeb wiernych duchowieństwa, pogrążonego w skandalach (różnego typu) i dążącego do władania życiem doczesnym wspólnoty wiernych Kościoła były wówczas równie powszechne jak dziś. I to są jawne, widoczne gołym okiem analogie tych dwóch sytuacji, choć dzieli je ponad siedem wieków historii.

Jednak wielu w Polsce komentatorów dostrzegło w decyzji Benedykta XVI jedynie personalno-zdrowotne (czyli oficjalnie podane) przestanki tej bądź cbaądź ważkiej decyzji. Nie dostrzegli analogii w kryzysowej sytuacji Kościołów Celestyna i Benedykta.

Decyzja Benedykta jest pod każdym względem decyzją doniosłą – po niej Kościół i katolicyzm już nie będą takie same. I Benedykt XVI będzie zapamiętany w dziejach Kościoła, chrześcijaństwa iświata właśnie z tego tytułu: pozostanie w pamięci jako ten papież, który dobrowolnie ustąpił z zajmowanego stanowiska. Ze względu na stan zdrowia – choć można (i na pewno będą trwały na ten temat dyskusje) w tej kwestii polemizować z papieskimi uzasadnieniami. Nieważny jest dziś jego dorobek – oceniany przeważnie krytycznie jako, iż Benedykt XVI, zdaniem wielu komenta-

torów, teologów i hierarchów (m.in. zmarły w 2012 r. arcybiskup Mediolanu kard. C.M.Martini) miał cofnąć Kościół w swym konserwatyźmie i przywiązaniu do tradycji do czasów przedsoborowych. Taką ocenę oddają też słowa jego przyjaciela i współpracownika z okresu tworzenia teologicznego periodyku „Concilium”, teologa szwajcarskiego, znanego dziś krytyka doktryny Kościoła Hansa Kuenga: „...Ten krok jest z wielu powodów zrozumiały. Mam nadzieję, że Ratzinger nie będzie miał wpływu na wybór następcy. Za swego pontyfikatu powołał tylu konserwatywnych kardynałów, iż nie ma pośród nich osoby, która byłaby w stanie wyciągnąć Kościół z kryzysu”.

I tu dochodzimy do problemów jakie stwarza ta sytuacja. Mimo zapewnień wielu hierarchów kurialnych, że Kościół jest przygotowany na sytuację, gdy urzędujący Papież składa urząd, który piastuje a pozostaje przy życiu, prawo kanoniczne (Vaticanum I) jest tu nieubłagane: „*Romani Pontifici definitiones esse ex sese irreformabiles non autem ex consensus Ecclesiae*” (Definicja papieża rzymskiego jest sama z siebie niezmienna, i nie wypływa ze zgody Kościoła). Tak więc żyjący papież-emeryt (nawet w odosobnieniu, nawet milczący i jakby nie były w przestrzeni publicznej) w dobie globalnych mediów i wszechobecnego newsa będzie zawsze traktowany jako swoiste alter ego oficjalnie urzędującego Namiestnika św. Piotra.

Trzeba jeszcze dodać, komentując decyzję Benedykta, iż jego osobowość i zainteresowania – bliższe ciszy bibliotek i uniwersyteckiej atmosfery niżli scenie i tłumom widzów, szumowi medialnemu oraz celebryctwu – od początku nie korespondowały z rolą jaką papieżstwu narzucił jego poprzednik. Benedykt był typem introwertyka, spokojnego urzędnika i administratywisty (dlatego doskonale sprawdzał się w roli zwierzchnika Kongregacji Doktryny Wiary).

Gdy Czytelnik czytać będzie ten tekst znane już może będą wyniki konklawe. W tym momencie można więc jedynie prorokować. Sądzę otóż, że wiele do powiedzenia będzie miał silny w kolegium kardynalskim „włoski oddział”. Dwukrotne pontyfikaty nie-Włochów ostatnimi czasami na pewno wzmogły parcie italskich purpuratów do powrotu ich przywództwa w Watykanie. Nazwiska Angelo Scoli (arcybiskup Mediolanu), Mauro Piacenzo, Gianfranco Ravaso, Tarciso Bertone czy Angelo Sodano (czterej ostatni to kardynałowie kurialni) są bardzo dobrze notowane na giełdzie papabile.

Gdyby jednak lobbies włoskich kardynałów nie doszły do porozumienia wybór padnie zapewne na Amerykanina, ale z Kanady (np. znaczący i nader centrowo usposobiony kard. z Montrealu Marc Oullet).

Wszelako warto na koniec przytoczyć stare, rzymskie przysłowie, które (mądrze) mówi; „*Kto wchodzi na konklawe papieżem, wychodzi kardynałem*”.

Radosław S. CZARNECKI

Pamięci prymasa Józefa Glempa

Z uwagą obserwowałem trwające trzy dni uroczystości pogrzebowe kard. Józefa Glempa – prymasa katolickiego Kościoła w Polsce. Udzielił mi się emanujący z ekranów i z wielu komentarzy nastrój zrozumiałego żalu i przebijający się do świadomości setek tysięcy ludzi uchwytyny wyraz szacunku do Zmarłego. Zapytałem sam siebie: kogo żegnali Polacy?

Prymasa Józefa Glempa poznałem w maju 1987 roku. Powołano mnie w skład rządu na stanowisko ministra – kierownika Urzędu ds. Wyznań. Poprosiłem o możliwość spotkania, bo sugerowała to tradycja i powaga zadań, które miałem wypełnić. Niedługo czekałem na przyjęcie. Gdy do niego doszło i wprowadzono mnie w Pałacu Prymasowskim do gabinetu przywitałem się i zacząłem wyjaśniać powód wizyty. Rozpocząłem od słów: „Eminencjo, księżo Prymasie...” W tym momencie ręka gospodarza wykonała gest mitygujący, zachęcający do powściągliwości. Tak go w każdym razie rozumiałem i zapamiętałem. Jeszcze widzę tę scenę, która sprzyja trwałości szacunku do Prymasa i roli jaką odegrał w trakcie prac nad przygotowaniem przez wspólny

Zespół Roboczy projektu aktów prawnych normalizujący stosunki państwo - Kościół, zwłaszcza tych dwóch fundamentalnych: projektu Konwencji jako podstawy wznowienia stosunków dyplomatycznych między Polską Rzeczpospolitą Ludową i Stolicą Apostolską oraz projektu ustawy normalizującej status Kościoła katolickiego w Polsce, ustawy przyjętej przez Sejm w maju 1987 roku. Gdy wracam do pytania kogo żegnali Polacy odpowiedź ograniczę do dwóch zdań. Żegnaliśmy człowieka, który traktował Polskę podmiotowo, a nie instrumentalnie. Był Prymasem Kościoła Polskiego. Żegnaliśmy człowieka, który zgodnie z tradycją był księciem Kościoła, ale ten książe nie zawahał się prosić wiernych o rozwagę i powściągliwość, gdy głęboko rozumiany interes kraju takiej prośby wymagał. Był jak polski chłop odpowiedzialny za ziemię na której pracował i za którą, jak każdy odpowiadał. Sądzę, że choćby dlatego budzi mój szacunek.

Testamentowym życzeniem Prymasa było spocząć w podziemiach katedry św. Jana, której historia własna sprzyja powstawaniu poważnych myśli o trzech stuleciach najnowszej historii Polski. Nie wskazał świątyni Opatrzności Bożej, którą budował jako Arkę Przymierza między dawnymi a nowymi laty na terenie dzielnicy Wilanów, tej najbardziej nowoczesnej z dzielnic odrodzonej Warszawy. Ta decyzja jest dla mnie zrozumiała i godna podziwu. Będzie jedną z przyczyn by Człowiek, którego żegnano z szacunkiem w nieodległej przyszłości stał się przedmiotem zbiorowego podziwu w społeczeństwie, któremu służył.

Władysław LORANC

W drodze do Euro

Droga Polski do euro nie musi być ani długa, ani wyboista. Polska z punktu widzenia formalnego już znajduje się na drodze do euro, co wynika z Traktatu Akcesyjnego. Natomiast termin przystąpienia do unii walutowej zależy od spełnienia tzw. warunków konwergencji.

Najważniejsze z tych warunków są następujące:

Państwo aspirujące do eurolandu powinno mieć stabilny poziom cen. Obecnie tzw. baza inflacja dla państw wspólnej waluty wynosi 2,83%. Prognoza dla Polski na 2013 r. szacowana jest na 2,7%. Deficyt budżetowy nie powinien przekraczać 3%. Przewidywany deficyt budżetowy dla Polski w 2013 r. może sięgać 3,5%. Poziom zadłużenia finansów publicznych w stosunku do PKB według kryteriów unijnych nie powinien przekraczać 60%. Wskaźnik ten dla Polski wynosi ok. 55%. Jeżeli chodzi o stopę procentową to kryterium unijne wynosi 3,59%, podczas gdy w Polsce oscyluje ona wokół 4%.

Jak więc z powyższego wynika, Polska jest bliska wypełnienia tzw. warunków konwergencji, a niektóre już spełnia. Ale oczywiście to nie wystarczy by bezpiecznie, bez negatywnych skutków wejść do strefy euro. Gospodarka polska musi być bardziej konkurencyjna, musimy dysponować większym kapitałem ludzkim, usprawnić działalność gospodarczo-administracyjną.

Doświadczenie krajów, które przystąpiły do euro wykazuje, że czerpały one z tego faktu ewidentne korzyści. M.in. osiągnęły stabilizację finansową, wyeliminowały ryzyko kursowe, zwiększyły eksport, zmniejszyły koszty działalności gospodarczej, pozyskały więcej inwestycji zagranicznych, uzyskały wzrost PKB, a tym samym stworzyły sprzyjające warunki do wzrostu dobrobytu społeczeństwa.

Przyjęcie euro wiąże się jednak również z pewnym ryzykiem i zagrożeniami. Eurosceptycy w Polsce będą podnosić kwestię utraty suwerenności finansowej, kursowej, emocjonalnego, „patriotycznego” przywiązania do złotówki. Nie wiemy na jakim poziomie ustalony będzie kurs konwersji, kurs wymiany złotego na euro. W społeczeństwie polskim są silnie zakorzenione obawy, że przystąpienie do euro wiąże się ze wzrostem cen, a więc przyczyni się do obniżenia stopy życiowej. Może pogorszyć się konkurencyjność gospodarki polskiej.

Wymieniłem zarówno niektóre korzyści, jak i zagrożenia związane z akcesją Polski do strefy euro. Pamiętajmy, że wprowadzenie euro nie odbędzie się nagle z dnia na dzień. Od 1 stycznia

1999 r. w wyniku decyzji Rady Europejskiej z 1997 r. wprowadzono tzw. mechanizm ERM2. Pozwala on państwowemu aspirującemu do euro na okres przejściowy, w którym pasmo wahań kursów walutowych powinno być $\pm 15\%$. Przyjmując ERM2 nie musimy spełniać warunków konwergencji. Natomiast pozwala to państwu stopniowo dostosować się do spełnienia tych warunków.

W Polsce już toczy się dyskusja kiedy moglibyśmy przystąpić do eurolandu. Wymieniane są różne daty w przedziale czasowym 2015–2020. Nie warto się spierać, który rok będzie najbardziej korzystny. Kluczową sprawą jest spełnienie warunków do przyjęcia wspólnej waluty. A wśród nich są nie tylko warunki konwergencji, ale uzyskanie poparcia społecznego i politycznego dla zastąpienia złotówki przez euro.

W Polsce obecnie mamy paradoksalne zjawisko. Z jednej strony występuje najwyższe w Unii Europejskiej (ok. 80%) poparcie dla integracji europejskiej i udziale w tym procesie Polski. Z drugiej strony mamy do czynienia z najniższym poparciem (ok. 30%) dla przyjęcia wspólnej waluty. To niskie poparcie dla wymiany złotówki na euro wynika z nieznamomości skutków tego procesu, z obaw przed negatywnymi skutkami tej decyzji. Potrzebujemy więc intensywnej akcji edukacyjnej, w której przedstawione zostaną uczciwie wszystkie argumenty za i przeciw euro. Czas płynie szybko. Jeżeli nie przekonamy większości Polaków o korzyściach z przyjęcia euro, może powstać sytuacja, że w następnych wyborach parlamentarnych w 2015 r. nie będzie wymaganej większości do zmiany Konstytucji, umożliwiającej przyjęcie euro. Wówczas udział Polski w eurolandzie przesunie się ad Kalendas Graecas.

Dobrze się więc stało, że prezydent Bronisław Komorowski zainicjował dyskusję na temat euro. Aby jednak ta akcja edukacyjna była skuteczna muszą się do niej włączyć partie polityczne, rząd, organizacje społeczne, świat nauki i media.

Longin PASTUSIAK

Autor jest profesorem w Akademii Finansów i Biznesu Vistula, byłym marszałkiem Senatu RP.

Doświadczenie tolerancji

Rozmowa z profesorem Jerzym J. WIATREM

Zdzisław SŁOWIK: Przez prawie dziewięć lat byłeś przewodniczącym Rady Społecznej Ekumenicznej Fundacji „Tolerancja”. Jak doszło do tego, że Ty – człowiek niewierzący – powołany zostałeś na tę funkcję?

Jerzy J. WIATR: Było to rzeczywiście wydarzenie niezwykle i znamienne. Moim poprzednikiem był wybitny działacz katolicki, były senator RP, Rzecznik Praw Obywatelskich i minister pracy w rządzie premiera Cimoszewicza profesor Tadeusz Zieliński. Jego śmierć (w 2003 roku) osierociła Radę Społeczną i spowodowała, że otrzymałem propozycję zostania jego następcą.

ZS: Czyja to była inicjatywa?

JW: Założyciela i prezesa Ekumenicznej Fundacji „Tolerancja” Kazimierza Morawskiego.

ZS: Jak myślisz, dlaczego zaproponował to Tobie?

JW: Od powstania Fundacji w 1993 roku miałem z nią regularne kontakty. Parokrotnie występowałem jako panelista w dyskusjach organizowanych w ramach Klubu imienia Giorgio La Piry, raz nawet w duecie z Jarosławem Kaczyńskim (w 1994 roku), co dobrze wspominam. W 1995 r. z ramienia komitetu wyborczego Aleksandra Kwaśniewskiego wynegocjowałem poparcie jego kandydatury przez Unię Chrześcijańsko Społeczną, której prezesem był Kazimierz Morawski. To wtedy nasze stosunki przybrały postać prawdziwej przyjaźni. Proponując moją kandydaturę prezes Morawski chciał udowodnić, że dla realizacji wspólnych celów potrzebna jest współpraca ludzi wierzących i niewierzących. To także jest moje stanowisko.

ZS: Zostałeś więc mianowany przewodniczącym rady?

JW: Nie. Członków rady powołują władze Fundacji, ale przewodniczącego wybiera rada ze swego grona. Zostałem wybrany w tajnym głosowaniu otrzymując 11 głosów na 13 głosujących. Wyboru dokonano 3 kwietnia 2004 roku.

ZS: A co uważasz za najważniejsze z okresu Twojej pracy w Radzie?

JW: Najważniejszym zadaniem rady jest nadawanie raz w roku medalu „Zasłużony dla Tolerancji”. W czasie, gdy przewodniczyłem radzie nadawaliśmy medale dziewięć razy – w sumie kilkudziesięciu osobom z Polski i z zagranicy oraz kilkunastu organizacjom i instytucjom, w tym (w 2006 roku) redakcji „Res Humana”. Mam poczucie, że wraz z innymi członkami rady zdołałem zapewnić staranny dobór nagrodzonych, wśród których byli ludzie tak wybitni, jak między innymi arcybiskup Abel, Zygmunt Bauman, ksiądz Adam Boniecki, Włodzimierz Cimoszewicz, Agnieszka Holland, Jerzy Jedlicki, Aleksander Kwaśniewski, Kazimierz Kutz, Olga Lipińska, Jacek Majchrowski, kantor Joseph Malowany, Bronisław Łagowski, Janina Paradowska, Marek Safjan, Andrzej Walicki, Stanisław Waltoś, Andrzej Wielowieyski, Andrzej Zoll, a także wiele organizacji i instytucji polskich i zagranicznych, między innymi Polsko-Rosyjska Grupa do Spraw Trudnych. Mam poczucie, że udało mi się tak prowadzić prace rady, że panowała w niej autentyczna atmosfera wzajemnego szacunku, zrozumienia i chęci zgodnego działania.

ZS: Jak więc stało się, że odszedłeś z rady?

JW: Nie tyle odszedłem, co zostałem z niej odwołany przez Radę Fundatorów. Otrzymałem miłe pismo z podziękowaniem za dotychczasową pracę i z informacją o „wygaśnięciu” mojego mandatu. Nie było rozmowy, więc nie wiem, jakie były powody.

ZS: A jak sądzisz?

JW: Myślę, że po śmierci Kazimierza Morawskiego władze Fundacji korygują jej politykę, do czego mają pełne prawo. Życzę im, by ta nowa polityka nie przekreśliła dorobku lat poprzednich i by otwarta, prawdziwie ekumeniczna linia Kazimierza Morawskiego była owocnie kontynuowana.

Dziękuję za rozmowę.

FUNDUSZ WSPARCIA „RES HUMANA” TRWA

FUNDUSZ WSPARCIA „RES HUMANA” powiększyły w styczniu 2013 roku wpłaty, których dokonali:

Andrzej GRUTZMACHER
Red. Eugeniusz GUZ
Waldemar HUZAR
Marian KUBALKA
Mgr Bronisława MIERZEJEWSKA
Prof. Jerzy STRZEŻEK
Marian ŚWIETLIK
Daniel ZBYTEK

Dzięki tym wpłatom, jak i wszystkim dokonany wcześniej, „RES HUMANA” uzyskała środki pozwalające na jej dalsze istnienie w służbie humanizmu, tolerancji, wolności sumienia i demokratycznego państwa prawa.

Wszystkim wymienionym Osobom serdecznie dziękujemy.

Redakcja RES HUMANA

W KRĘGU LUDZKICH SPRAW i WARTOŚCI

Jan DĘBOWSKI

Wartość przyjaźni

Przyjaźń od początku interesowała filozofów czego dowodem są choćby rozważania Arystotelesa w VIII Księdze „Etyki Nikomachejskiej. Wracają do niej wszyscy inni zajmujący się związkami między ludźmi: Demokryt z Abdery, Seneka czy Michał de Maigne, i wracają ich myśli, że przyjaciółmi są ci, którzy sobie nawzajem życzą pomyślności, znają swoje uczucia, tworzą wspólnotę opartą na miłości, gotowi są do współdziałania. Wartości te płynące z przyjaźni czynią życie przyjemniejszym i rodzą poczucie bezpieczeństwa. Między przyjaciółmi człowiek nie czuje się zagrożony, ponieważ nawet w sytuacji realnego zagrożenia może spodziewać się pomocy.

1

Przez ostatnie dwa tysiąclecia rozumienie przyjaźni musiało ulec pewnym korektom, wynikającym zarówno z innych aniżeli starożytność warunków cywilizacyjnych i społeczno-politycznych, jak również z postępu nauk o człowieku. Pozostały wszakże i nadal obowiązują zasadnicze wątki namysłu starożytnych nad zagadnieniem przyjaźni.

W „Małym słowniku etycznym”¹ pod hasłem „przyjaźń” znajdujemy następującą informację: „Przyjaźń – jedna z istotnych więzi łączących ludzi, opierająca się na współodczuwaniu (...) określonych stanów emocjonalnych. Szczerza przyjaźni ujawnia się w bezinteresownym uczestniczeniu w cudzym szczęściu lub nieszczęściu. Oznacza to utożsamienie się z osobą obdarzoną przyjaźnią. Przyjaźń stanowi

zespół pewnych elementów psychicznych oraz postaw moralnych. Najczęściej z uczuciem przyjaźni kojarzone są: bezinteresowność, zaufanie (warunek zawarcia przyjaźni), życzliwość, odpowiedzialność, lojalność, wierność.”²

W powyższym określeniu przyjaźni wskazuje się na kilka elementów, które stanowią cechy charakterystyczne tego uczucia i postawy moralnej. Ich krótkie omówienie umożliwi pełne zrozumienie interesującego nas pojęcia.

Jedną z cech charakteryzujących przyjaźń jest *bezinteresowność*. Pod tym pojęciem rozumie się działanie pozbawione znamion interesowności, motywowane szlachetnymi pobudkami na rzecz drugiej osoby. Z tych względów bezinteresowność uważa się za niezbędny warunek zachowań moralnych. Niektórzy etycy twierdzą nawet, że bezinteresowność jest źródłem moralności.³

Inną cechą składową przyjaźni jest *altruizm*. Sam ten termin wprowadził August Comte i oznacza on bezinteresowną troskę o dobro innych ludzi, a więc także życzliwość do nich stosunek, sympatię i gotowość poświęcenia się dla nich. W tym znaczeniu pojęcie to jest zaprzeczeniem egoizmu.

Oprócz bezinteresowności i altruizmu postawa przyjaźni wymaga *życzliwości*, rozumianej jako przychylność, „umiejętność postawienia się w sytuacji drugiego człowieka, przeniknięcia jego dążeń i pragnienie ich spełnienia”.⁴

Odpowiedzialność stanowi następny ważny element składający się na postawę przyjaźni.

Jest to taka właściwość ludzkiego postępowania, która polega na gotowości do ponoszenia konsekwencji własnego postępowania. Źródłem i podstawą odpowiedzialności jest zdolność dokonywania wolnych wyborów w działaniu.⁵

Przyjaźń zakłada również *lojalność*, rozumianą jako wartość moralna i dyrektywa postępowania w relacjach międzyludzkich. Nakaz lojalności wymaga więc, aby w stosunku do drugiego człowieka zachowywać się jednakowo w jego obecności, jak też „poza jego plecami”.⁶

W końcu należy wymienić *wierność*, która jest zdolnością pozostawania przy obranych wartościach, dotrzymywania obietnic i zobowiązań. Wierność wobec innych osób i wobec samego siebie wymaga utożsamiania swojego aktualnego „ja” z „ja” przyszłym. Obowiązek wierności wobec drugiej osoby jest konsekwencją traktowania jej jako wartości autotelicznej, „godnej dotrzymania wierności”, jak również wynika on z oczekiwania wzajemności.⁷

Aksjologiczny status przyjaźni można też wyrazić językiem literackim mówiąc, że przyjaźń jest skarbnicą, w której przechowuje się takie wartości jak: solidarność, zaufanie, bezpieczeństwo. **Natomiast dobry przyjaciel jest wielkim darem. Albowiem czym dla ptaka są skrzydła, tym dla człowieka przyjaźń. Wznosi ona go pod góry i czyni szczęśliwym i bezpiecznym.**

2

Czy w dzisiejszym świecie jest miejsce na przyjaźń? Co należy uczynić, aby zdomowiła się w relacjach interpersonalnych, w stosun-

kach społecznych i międzynarodowych, stanowiąc podstawę i warunek bezpieczeństwa?

Zasadność tego rodzaju pytań uzasadnia przekonanie, że żyjemy w świecie nie wolnym od wrogości i nienawiści. Przekonanie to znajduje potwierdzenia w sytuacjach i zdarzeniach dokonujących się codziennie w różnych rejonach świata. Coraz bardziej szokują one wielorakością swych form, jak też siłą wyrazu. **Wrogość i nienawiść obejmują przy tym niemalże wszystkie dziedziny życia, poczynając od codziennych relacji osobowych, poprzez stosunki społeczne w skali lokalnej, a skończywszy na kryzysowej kondycji świata w wymiarze globalnym.** Nic dziwnego zatem, że „kryzys” jest dziś jednym z najczęściej wypowiedzianych słów. Dotyczy on nie tylko zawartości bankowych komputerów, ale przenosi się również jak płomień do narodowych i ponadnarodowych struktur w postaci zamieszek i kontestacyjnych wystąpień różnych grup społecznych i zawodowych, wylewających się na ulice i place metropolii. Współczesne formy kryzysu są tak różne i skomplikowane, że nie można ich pokonać wyłącznie działaniami na płaszczyźnie ekonomicznej. Wydaje się nawet, że poprzestawanie na nich byłoby działaniem bezprzedmiotowym, ponieważ źródło kryzysu tkwi nie poza, lecz właśnie w samym człowieku, w jego osobowości, w uznawanych przez niego wartościach. Innymi słowy, **kluczem do naprawy kondycji człowieka i świata jest rewolucja w sferze wartości, ta sama, która niepostrzeżenie zmieniała życie człowieka i oblicze świata, obejmując swym zasięgiem coraz to nowe i większe obszary rzeczywistości, czyniąc je rzeczami pozbawionymi**

Wiersze o przyjaźni



Adam Mickiewicz

Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę,
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę.
Jednakże, gdy cię długo nie oglądam,
Kogoś mi braknie, kogoś widzieć żądam.

(Niepewność)

Przyjaźni! O, pokłon tobie!
A wam buziak równozmienny!
Lecz wołałbym z wami w grobie
Niżli bez was na stolicy.

(Do Czeczota)

szacunku, traktowanymi nie jako partnerów, lecz zwykły towar.

Tragicznymi skutkami odhumanizowania i reifikacji człowieka oraz rzeczywistości ziemskiej są m.in. największe wyzwania moralne dla świata w postaci niesprawiedliwości społecznej, alienacji obywateli i związanej z tym samotności współczesnego człowieka. Niesprawiedliwość ma różne oblicza. Najczęściej odwołujemy się do jej ekonomicznej postaci, operując zatrważającymi danymi statystycznymi.

Zwiększa się rozwarstwienie społeczeństw: bogactwo najbogatszych jest większe niż majątek uboższej części ludzkości. Globalizacja rynku finansowo-przemysłowego zagraża także podstawom ustroju demokratycznego. Jeszcze nie tak dawno mnogość firm rozpraszala ekonomiczną władzę, co zostawiało pole dla demokracji – twierdzi Ladislau Dowborn, „Dziś Gatsowie, Bertelsmannowie, Murdochowie, Turnerowie żeglują po świecie niczym królowie. Zwykłym śmiertelnikom zostawiają ograniczone prawa obywatelskie, a miliardom nędzarzy po prostu wykluczenie. Każda próba jej ograniczenia to oczywiście zamach na rynek. Ogon merda psem – jak mówi Joel Kurtzman, krytyk globalizacji. Państwo już nie stanowi przeciwwagi dla wielkiego biznesu”.⁸

Dzikie dążenie do zdobycia bogactwa kosztem nawet łamania elementarnych norm moralnych staje się pożądaną cnotą, która przybiera postać chciwości.

Chciwość jako „cnota” współczesnych społeczeństw konsumpcyjnych generuje także kryzys ekologiczny.

Można więc powiedzieć, że ekonomiczny wymiar ludzkiego życia nie może wyczerpywać

wszystkich jego wymiarów. W przeciwnym razie mamy do czynienia ze zjawiskami alienacji i samotności człowieka we wrogim mu świecie. **Nie bez racji uważa się, że zjawiska te są najpoważniejszą przyczyną utrudniająca przyjaźń między ludźmi.** Tego rodzaju negatywne zjawiska napędzane są przez przeważającą mierze przez **doktrynę neoliberalną**, której skutkiem jest m.in. to, że sytuacja w świecie staje się nieprzewidywalna, zagrażając równocześnie sferze zachowań moralnych. **Wynikające z tej doktryny instrumentalne traktowanie człowieka i obywatela prowadzi do jego alienacji i zdziczenia obyczajów.**⁹

Głęboką analizę sytuacji alienacji człowieka przeprowadził wiele lat temu Erich Fromm w dziele *Zdrowe społeczeństwo*.¹⁰ Wskazuje on, iż w wyalienowanym świecie mamy do czynienia ze szczególną deformacją roli rozumu, sumienia i religii. Fromm pisze: „Rozum wymaga więzi i poczucia jaźni (...). Jeśli jestem jedynie biernym odbiorcą wrażeń, myśli, opinii, mogę je porównywać, mogę nimi manipulować, ale nie mogę ich przeniknąć”. Z tą kwestią wiąże się zaś ściśle „brak poczucia rzeczywistości tak charakterystycznej dla osobowości wyalienowanej (...) „Współczesny człowiek, tłumaczy Fromm, wykazuje zadziwiający brak realizmu we wszystkich ważnych sprawach: „W kwestii sensu życia i śmierci, szczęścia i cierpienia, uczucia i poważnego myślenia. Zarzucił zastłonę na całą rzeczywistość ludzkiego istnienia i zastąpił je sztucznym, upiększonym obrazem pseudorzeczywistości, całkiem jak dzikus, który traci swoją ziemię i wolność za błyszczące szklane paciorki. W istocie jak bardzo się oddalił od ludzkiej

Kazimierz Brodziński

Przyjaźni, skarbie życia,
ludzkości zaszczycie!
Ty dzieląc na połowę,
w pół powiększasz życie!

(Poezje dla Dafny)

Stanisław Jachowicz

Pomnij, z kim zawrzeć przyjaźń.
Kropla deszczu mała
Padła na żar żelaza i zniknęła w chwili
Padła na wdzięczny kwiatek jak perła jaśniała.
Padła w konchę – i z konchy perłą ją dobyli.

(Myśl z indyjskiego)



rzeczywistości, że może, za mieszkańcami nowego wspaniałego świata, powiedzieć, „gdy jednostka czuje, wspólnota szwankuje”.¹¹

W świecie wyalienowanego rozumu procesom wyobcowania ulega także, przysługująca jedynie człowiekowi, działalność zwana pracą. Współczesny człowiek stał się zatem substytutem maszyny.

Obok braterstwa jako warunku przyjaźni należy wymienić także równość praw wszystkich członków danej społeczności, ze wszystkimi mieszkańcami Ziemi włącznie. Nie można pominąć milczeniem również wolności jako warunku autentycznej przyjaźni. Chodzi tu zarówno o wolność polityczną, ekonomiczną, jak też intelektualną. Zwłaszcza ta ostatnia zakłada postawę tolerancji dla odmiennych poglądów i przekonań, eliminację wszelkich odmian fanatyzmu, który przekreśla możliwość jakiegokolwiek dyskursu.¹² Przed fanatyzmem przestrzegali wielcy myśliciele. Wolter pisał: „Pamiętajcie, że fanatycy są bardziej niebezpieczni od łotrów, opełtanego nigdy już nie zdołamy przywrócić do rozumu, z łotrem może się udać”.¹³ Fryderyk Nietzsche twierdził, że fanatyzm, to „jedyny objaw «silnej woli», na który potrafią się zdobyć ludzie słabi i nękani niepewnością”.¹⁴ Z kolei Czesław Miłosz odsłania odmienną postawę tolerancji i fanatyzmu wkładając w usta starożytnego Żyda z Podkarpacia bardzo wymowne słowa: „Jeżeli dwóch kłóci się, a jeden ma rzetelny 55 procent racji, to bardzo dobrze... A kto ma 60 procent racji? To ślicznie... i niech Bogu dziękuje. A co by powiedzieć o 75 procentach racji?... To bardzo podejrzane. A co o 100 procentach?... To paskudny gwałtownik, straszny rabuśnik, największy łajdak”.¹⁵

Można więc za J.S. Millem powiedzieć, że miarą realizacji zasady wolności w sferze świadomości i życia publicznego jest właśnie stopień upowszechnienia postawy tolerancji. Ten angielski filozof – pragmatysta pisał, że wolność w życiu człowieka i społeczeństwa jest dobrem bezcennym: „Ludzkość uzyskuje więcej, pozwalając każdemu żyć wedle jego upodobania, niż zmuszając każdego, by żył wedle upodobania pozostałych”.¹⁶ Wymieniając szczegółowo dziedziny życia, w których zasada wolności powinna być realizowana,

Mill konkluduje: „Żadne społeczeństwo, w którym swobody te nie są, na ogół biorąc, szanowane, nie jest wolne, bez względu na formę jego rządu; i żadne społeczeństwo nie jest całkowicie wolne, jeśli nie są w nim uznawane bez żadnych absolutnie zastrzeżeń”.¹⁷ **Według Milla postęp miał miejsce zawsze tam, gdzie toczyła się walka z tendencjami zachowawczymi, a indywidualne opinie wykształcały się pomimo presji tradycji i zwyczaju.**

Wśród czynników mających wpływ na kształt stosunków międzyludzkich i między państwowych jedno z czołowych miejsc zajmuje dziś kultura masowa i media, jako jej narzędzia. Jej udział w kształtowaniu postaw ludzkich polega chociażby na zaszczepianiu stereotypów myślowych oraz określonych hierarchii wartości, szkodliwych z punktu widzenia interesów jednostek, grup i całego społeczeństwa. Są to zwykle pseudowartości skłaniające do bierności i wygodnictwa, nie mówiąc już o propagowaniu zachowań wrogich, brutalności i agresji, czyli postaw stojących w sprzeczności z życzliwością i przyjaźnią w relacjach międzyosobowych i stosunkach społecznych. Epatowanie widza i czytelnika lub też zwykłego przechodnia obrazami i treściami pełnymi okrucieństwa, przemocy i krwi musi odbijać się niekorzystnie na ich psychice, skutkuje przemocą, brutalnością, wrogością, agresją i fanatyzmem z życia społecznym. W świetle tego słuszny jest pogląd wyrażony przez J.P. Sartre’a, wedle którego człowiek jest takim, jakim sam siebie uczyni.¹⁸

W świetle poważnych opinii narzuca się nieodparcie pytanie, czy przedstawiony obraz mediów może kształtować postawy życzliwości, sympatii i przyjaźni między ludźmi, a przez to wzmacniać poczucie bezpieczeństwa? Z dużą dozą słuszności można powiedzieć, że pytanie to ma raczej charakter retoryczny.

Nieocenione znaczenie w tych zabiegach ma wychowanie. Jego celem powinno być formowanie osobowości i postaw zgodnych z moralnymi zasadami współżycia społecznego, szacunek dla wszystkich istot żyjących. Jest to zadanie przede wszystkim dla humanistów, których wpływ na to, co dzieje się w życiu publicznym jest obecnie niewielki. Powinni

Dokończenie na str. 32

O polskiej służbie zdrowia: diagnozie stanu i środkach terapii

z dr. Markiem BALICKIM

rozmawiają Waclawa MIELEWCZYK i Zdzisław SŁOWIK

Jest Pan, Panie doktorze, osoba, która łączy w budzącej szacunek długoletniej służbie publicznej doświadczenia lekarza praktyka, dyrektora znanego warszawskiego szpitala a wcześniej ministra zdrowia. To rozległe doświadczenie zachęca do rozmowy o sprawach najważniejszych, jeśli nie fundamentalnych, narzuca skupienie uwagi na dwóch w istocie problemach: na obecnym stanie polskiej służby zdrowia i nad środkami jego istotnej naprawy. Skonkretyzujmy ten pierwszy problem: co sprawia, że nasza służba zdrowia działa, w powszechnym odczuciu, źle, że jej stan ostatnio nawet się pogarsza, a całe środowisko uważa się za skorumpowane? Na czym polega istota tych problemów?

Jeśli mamy mówić z nieco większym namysłem o stanie naszej służby zdrowia, musimy pamiętać, że z jednej strony w ostatnich latach mamy do czynienia z ogromnym rozwojem wysokospecjalistycznych świadczeń medycznych, dzięki którym możemy skuteczniej pomagać większej liczbie chorych, że częściej posługujemy się drogim sprzętem i aparaturą o najwyższych światowych parametrach, że wielu pacjentów nie jest już w chorobie skazanych wyłącznie na ból czy cierpienie. Ale z drugiej strony mamy do czynienia z postępującym krok po kroku niepokojącym procesem wycofywania się państwa z odpowiedzialności za zdrowie obywateli. Ten proces, widoczny od lat 90. minionego wieku, został w pewnym sensie usankcjonowany w uchwalonej dwa lata temu ustawie o działalności leczniczej. Zgodnie z tą ustawą udzielanie świadczeń zdrowotnych przestało być zadaniem o charakterze użyteczności publicznej, a stało się działalnością gospodarczą. Przypomnę, że przez użyteczność publiczną rozumiemy bieżące i nieprzerwane zaspokajanie zbiorowych potrzeb ludności w drodze świadczenia usług powszechnie dostępnych. Definicja ta jak ułał pasuje do służby zdrowia. Natomiast w działalności gospodarczej chodzi o zarobek, o wynik finansowy. Leczenie pacjentów za publiczne pieniądze uznane zostało za działalność w istocie biznesową. Mamy więc do czynienia ze zmianą paradygmatu, której skutki już są odczuwalne przez ludzi. Obserwujemy je w działalności szpitali ograniczających przyjęcia chorych, których leczenie się nie opłaca, a także w wydłużających się kolejkach do specjalistów, bo skończyły się limity, ze wszystkimi tego następstwami dla zdrowia obywateli. Nie możemy tego nie widzieć, nie możemy nie dostrzegać narastającej goryczy i zniecierpliwienia ludzi. I nie wolno nam wobec tego stać z założonymi rękami.

Czy podane przez pana przykłady następstw owego odstępowania państwa od odpowiedzialności za zdrowie obywateli wyczerpują ich listę. Bo wydaje się, że jest jeszcze wiele innych.

Oczywiście. Wymienię kolejne. Otóż w latach dziewięćdziesiątych zmniejszono o jedną trzecią liczbę studentów kształcących się na wydziałach lekarskich naszych uczelni medycznych. Na marginesie dodam, że jedną z nich, wielce zasłużoną Wojskową Akademię Medyczną w Łodzi, w ogóle zlikwidowano. W rezultacie liczba lekarzy przypadających na 10 tys. mieszkańców jest taka, jak w końcu lat 80. Tyle, że w międzyczasie społeczeństwo się ze-

starzało i wzrosły potrzeby zdrowotne. W liczbie lekarzy znaleźliśmy się na szarym końcu w Europie. Na dodatek środowisko lekarskie też się zestarzało. Wśród lekarzy aktywnych zawodowo odsetek tych, którzy przekroczyli 65. rok życia wynosi 13 proc., podczas gdy np. w Niemczech jest to tylko 3 proc. Różnica jest więc ogromna. A jeszcze nie tak dawno premier Tusk mówił, że to zagranicą pracuje się dłużej. Ale to dobrze, że koleżanki i koledzy chcą jeszcze pracować, bo gdyby zrezygnowali problemy byłyby większe, zwłaszcza w przychodniach. Widzimy, że wielu lekarzy, a także pielęgniarek pracuje dodatkowo w innych placówkach. Nie jest to dobre, bo wpływa nieuchronnie na jakość pracy, co słusznie irytuje pacjentów. Ale jest to prostu rezultat braku kadr medycznych.

Ale jest też, wspomniany przez Pana coraz bardziej utrudniony dostęp chorych do specjalistów, i jest jednocześnie SOR czyli szpitalne ośrodki ratunkowe.

Długi czas oczekiwania do specjalistów wynika po części z nieudanej reformy medycyny rodzinnej oraz z utrwalonego w świadomości społecznej przekonania, że tylko specjalista może nas skutecznie wyleczyć. Problem ten wymaga pilnego rozwiązania. Należy wrócić do idei instytucji lekarza rodzinnego i nadać jej odpowiednią rangę. Lekarz rodzinny nie musi przecież być specjalistą w różnych dziedzinach medycyny, ale powinien mieć bardzo dobre rozeznanie w stanie zdrowia swoich pacjentów i do specjalisty kierować ich tylko wtedy, kiedy jest to konieczne. Wzmocnienie instytucji lekarza rodzinnego powinno odciążyć nie tylko poradnie specjalistyczne, ale także szpitalne oddziały ratunkowe. Zadaniem tych oddziałów jest udzielanie pomocy w stanach nagłego zagrożenia życia lub zdrowia. Tymczasem, wskutek niewydolności podstawowej opieki zdrowotnej i trudności z dostaniem się do specjalisty zastępują one dzisiaj lecznictwo ambulatoryjne. W efekcie nie mogą dobrze wypełniać swojej podstawowej funkcji.

Po głośnym wyroku w sprawie kardiochirurga G. wraca kwestia korupcji w naszej służbie zdrowia. Jakie jest pana zdanie w tej sprawie?

Uważam, że zjawisko to jest dzisiaj wyolbrzymiane i demonizowane. Niezbędne jest odizolowanie faktów od medialnych sensacji. Zgadzam się z prof. Czapińskim, że korupcja w służbie zdrowia staje się zjawiskiem marginesowym. Tylko kilka proc. pacjentów przyznaje się do wręczenia lekarzom „dowodów wdzięczności”, w rozumieniu, jakie przedstawił sędzia Igor Tuleya w uzasadnieniu wyroku.

Natomiast nie lekceważyłbym zagrożeń korupcyjnych w sytuacjach, gdy w grę wchodzi duże pieniądze, np. przy rozdziale środków z Narodowego Funduszu Zdrowia czy w kontaktach z firmami farmaceutycznymi. Tutaj wymagana jest szczególna odporność na pokusy korupcyjne, ale jak widać nie wszystkim to wychodzi. Nasze władze są jednak bierne i dużo spraw pozostaje niewyjaśnionych.

Czy z tego o czym dotąd była mowa można pokusić się o jakąś ogólniejszą refleksję o stanie naszej służby zdrowia?

To zadanie trudne ze względu na uwikłanie problematyki zdrowia człowieka i służby zdrowia w spory polityczne, ideologiczne czy światopoglądowe. Często odwracają one uwagę od rzeczywistych problemów, hamują unormowanie wielu oczywistych i ważnych kwestii, jak choćby związanych z *in vitro*. Nie wchodząc w te spory, choć o nich nie zapominając, powiem, że z mojego punktu widzenia są dwie główne przyczyny, które sprawiają, że obecny stan polskiej służby zdrowia nie może nikogo zadowalać. Pierwsza to głęboka nierównowaga pomiędzy rosnącymi potrzebami zdrowotnymi starzejącego się społeczeństwa a wielkością środków przeznaczanymi przez państwo na ochronę zdrowia. Nierównowaga ta powiększa się z każdym rokiem, co łatwo dostrzec patrząc nie tylko na dane demograficzne, ale także na pacjentów naszych przychodni czy szpitali, i porównując ten obraz ze statystyką wydatków państwa na zdrowie. A druga przyczyna, to wspomniane już, systematyczne odstępowanie od traktowania lecznictwa jako działalności o charakterze użyteczności publicznej i kiero-

wania się przede wszystkim wynikiem finansowym, co prowadzi do wzrostu nierówności społecznych w zdrowiu, ze wszystkimi następstwami tego zjawiska dla całego społeczeństwa. Te dwie sprawy uznają za najważniejsze do podjęcia przez odpowiedzialnych za stan naszego państwa. Ich rozwiązanie byłoby dużym sukcesem.

Ze względu na wagę wskazanych przez pana problemów narzuca się pytanie czy w warunkach nienajlepszego stanu europejskiej i polskiej gospodarki i finansów oraz ostrej polaryzacji polskiej klasy politycznej możliwe jest osiągnięcie konsensusu pozwalającego na podjęcie koniecznych działań naprawczych naszej służby zdrowia? Może najlepiej w tych warunkach skorzystać z rady znanego krakowskiego chirurga, prof. Tadeusza Popieli, który w wypowiedzi dla czasopisma „Zdanie” tak radzi: „Zastosujmy skopiowany z zagranicy jeden ze sprawdzonych na przestrzeni dziesięcioleci systemów, najlepiej z kraju, w którym wprowadzono go na podobnym do naszego dziś poziomie rozwoju. To będzie niosło za sobą konieczność reformowania także innych dziedzin życia”.

W żadnej dziedzinie życia nawet najbardziej trafna diagnoza nie gwarantuje rozwiązania problemu, zwłaszcza jeśli nie weźmie się pod uwagę kontekstu, różnych uwarunkowań, nie dobierze odpowiednich narzędzi i właściwego sposobu postępowania. Tak też jest w ochronie zdrowia. Nie wchodząc w szczegóły, kwestie polityczne i sprawy światopoglądowe, które wywierają istotny wpływ na treść podejmowanych decyzji, sądzę, że aby pokonać trudności z jakimi boryka się nasza służba zdrowia, nie można z góry odrzucać poszukiwania kompromisu. Na początku trzeba ustalić relacje pomiędzy tym, czego obywatel może oczekiwać od państwa, a tym co musi sam czynić na rzecz swojego zdrowia. Poziom tych relacji, zależny od stanu finansów publicznych i zamożności społeczeństwa, to z pewnością dobry punkt wyjścia dla wypracowania rozsądnych rozwiązań. W dzisiejszym świecie państwa nie są w stanie zaniechać racjonowania opieki zdrowotnej. Racjonowanie dotyczy nie tylko krajów biednych, ale również zamożnych. Wynika to z faktu, że świadczenia medyczne należą do dóbr deficytowych, tj. takich których nie ma i nie będzie pod dostatkiem dla wszystkich potrzebujących. Ta prosta prawda, jeśli nawet brzmi gorzko, powinna dotrzeć do każdego z nas, bo wszyscy jesteśmy pacjentami.

Jakie z tej prawdy wynikają wnioski praktyczne?

Przed wszystkim to, że jeśli rzeczywiście troszczymy się o swoje zdrowie, bo uznajemy je za wartość szczególnie cenną, a wskazują na to badania opinii publicznej, to żeby zapewnić sobie względnie szeroki dostęp do świadczeń medycznych musimy przeznaczać na nie więcej naszych pieniędzy. Pozostaje pytanie w jaki sposób to zrobić: czy poprzez zwiększenie składki na powszechne ubezpieczenie zdrowotne czy wprowadzenie prywatnych ubezpieczeń dodatkowych. Osobiście nie mam wątpliwości, że lepiej inwestować w rozwój powszechnego systemu opieki zdrowotnej, który obejmuje całe społeczeństwo, niż w instytucje prywatne. System opieki zdrowotnej powinien realizować zasady sprawiedliwości, solidarności i altruizmu, zmniejszać nierówności zdrowotne. Natomiast mechanizmy rynkowe osłabiają pozycję biednych na korzyść bogatych, mimo formalnej równości. Amerykański publicysta Robert Kutner pisze, że w ramach rynku środki przenoszone są tam, gdzie jest możliwość osiągnięcia dużego zysku, a nie tam gdzie występują potrzeby zdrowotne. Wiele z możliwych celów polityki zdrowotnej nie jest osiąganym, natomiast niepotrzebna opieka sprawowana jest tam, gdzie można osiągnąć duże korzyści. W efekcie koszty systemu są większe, mimo że dostęp do opieki w wielu dziedzinach jest utrudniony, a kolejki się wydłużają. Dlatego opowiadam się za rozwojem publicznej służby zdrowia.

Wszakże tak czy inaczej patrząc w przyszłość naszej służby zdrowia nie uciekniemy od pieniędzy, od wielkości środków publicznych przeznaczonych na lecznictwo.

To prawda. Obecny poziom naszych wydatków na zdrowie, tych publicznych i prywatnych łącznie, wynosi ok. 6,5 proc. PKB i jest wyraźnie niższy niż w większości krajów UE, gdzie

kształtuje się na poziomie 9–10 proc. Publiczne wydatki na zdrowie rosły u nas w ostatnich latach w miarę wzrostu PKB. Nie nadążały jednak za rosnącym zapotrzebowaniem na świadczenia zdrowotne, które jest wynikiem przyspieszonego procesu starzenia się naszego społeczeństwa, ani za rozwojem nowych metod leczenia i stosowania w medycynie nowoczesnych, kosztownych technologii. Z obserwacji innych krajów wynika, że tempo wzrostu wydatków na zdrowie powinno być większe niż wzrost PKB. I w tym momencie nie mogę nie podzielić się moim skrytym marzeniem, aby wywalczone właśnie w Brukseli środki unijne na najbliższe siedem lat w istotnej części przeznaczyć na wydzwignięcie naszej służby zdrowia do co najmniej średniego poziomu europejskiego.

Zbliżając się do końca naszej rozmowy, ze świadomością jej fragmentarycznego charakteru na tle całości trosk systemu naszego lecznictwa, zapytajmy o sprawy dziś najpilniejsze, na które wskazałby pan, gdyby powierzono panu ponownie kierowanie resortem zdrowia?

Traktując to pytanie jako nieco konwencjonalne, a może jako puentę naszej rozmowy, chętnie na nie odpowiem. Po pierwsze, zlikwidowałbym centralę Narodowego Funduszu Zdrowia, a nadzór nad funkcjonowaniem oddziałów wojewódzkich powierzyłbym ministrowi zdrowia. Wprowadziłbym też więcej demokracji w postaci pochodzących z wyboru rad oddziałów wojewódzkich. Po drugie, zabiegałbym o uzyskanie konsensusu społecznego w sprawie, niezbędnego moim zdaniem, podwyższenia składki zdrowotnej. Po trzecie, chciałbym wprowadzić obywatelskie prawo do opieki zdrowotnej, żeby wszyscy mieszkańcy naszego kraju mieli dostęp do publicznego lecznictwa. Po czwarte, dążyłbym do szybkiego wprowadzenia przepisów umożliwiających realizację praw człowieka dotyczących takich spraw jak *in vitro*, przerywanie ciąży, edukacja seksualna itd. Po piąte, wprowadziłbym zasadę, że środki publiczne przeznaczane na zdrowie w pierwszej kolejności kierowane są do placówek, które nie pracują dla zysku.

Bardzo dziękujemy za rozmowę.

Lech OSTASZ

MYŚLI O DOBREJ ŚMIERCI: od Sokratesa do Christiana Barnarda

Na wstępie nadmienimy, że „dobra śmierć” (gr. eutanazja) jest tutaj rozumiana w szerokim sensie – od tzw. wspomaganego samobójstwa po tzw. eutanazję pośrednią bierną. A „myśli” odnoszą się do dobrze uargumentowanych poglądów, do teorii, silnych przekonań, a bywa, jako „głosy” – do luźnych refleksji, zdań, opinii. Tych drugich jest bardzo wiele – za dopuszczalnością eutanazji jest w Europie około trzy czwarte obywateli (w Polsce – około 65%) i liczba ich powoli rośnie. Artykuł jest zbiorem cytatów; do niektórych z nich, dokonując wyboru, dodałem krótkie własne komentarze.

Przytoczmy najpierw Senekę: „Nie odstąpię od starości, jeśli całego mnie zachowa dla mnie, całego, gdy chodzi o ową część lepszą; lecz jeśli znacznie osłabiać mój umysł, odbierać mi go po części, jeśli nie pozostawi mi życia, a tylko możliwość oddychania, to wyskoczę ze zgniłego i wałęsającego się domu. Choroby nie będę unikał przez śmierć; oczywiście choroby uleczalnej i nieszkodliwej dla umysłu. Także ze względu na boleść nie zadam sobie gwałtu: umrzeć w ten sposób znaczy tyle, co dać się zwyciężyć. Gdybym

wiedział wszelako, że będę musiał znosić boleść stale, odejdę – nie dla samego bólu, lecz dlatego, że będzie mi przeszkadzał we wszystkim, co jest celem życia¹. W innym miejscu pisze on: „Źle żyje ten, kto nie umie dobrze umierać”². Tak pisze ktoś, w którego kulturze eutanazja w szerokim tego słowa znaczeniu była jej częścią. Dobrowolną śmierć stoicy nazywali „rozumnym wyjściem” z życia³. Diogenes Laertios podaje, że według nauki stoickiej człowiek może odebrać sobie życie, jeśli jest „dotknięty kalectwem lub nieuleczalną chorobą”⁴. Przy czym dla wszystkich w tym czasie było oczywistością, że ktoś wybierający śmierć może prosić o usługę lekarza, aby mu w tym pomógł. Tak było z samym Seneką. W wieku 70 lat odebrał sobie życie. Truciznę przygotował jego lekarz Stacjusz Anneusz i był przy Senecie doradzając jak ma ją zażyć (zdecydował się na upuszczenie krwi, aby trucizna pewniej zadziałała).

Jeśli komuś odpowiada siedzenie w „zgniłym i walącym się domu” – jego wybór, ale jeśli nie odpowiada, to też musi mieć wybór. Na tym polega sens legalizacji eutanazji. Czyż nie jest czymś niemądrym, że pewna liczba decydentów politycznych, religijnych i prawniczych chce wszystkich obywateli trzymać w „zgniłym i walącym się domu” wbrew ich własnej woli?

Gdy Sokratesowi bliscy zaproponowali ucieczkę z więzienia, aby nie musiał wypić cykuty, ten stwierdził, że jest już na tyle stary i zniedołężniały (miał 70 lat), że zamiast przejść przez umieranie „w mękach choroby” woli wypić cykutę teraz, będąc całkiem świadom umierania⁵. Według przekazu Ksenofonta, ucznia Sokratesa, ten drugi „uważał nawet, że mu już pora skończyć życie”. Mówił do przyjaciół i uczniów: „Cóż to takiego? **Dopiero teraz na płacz wam się zbiera? Czyżście od dawna nie wiedzieli, że z chwilą mego przyjścia na świat już mnie natura na śmierć skazała?** Gdybym zginął przedwcześnie, a życie miało opływać we wszelkie dobra, to, rzecz jasna, powinni by się smuć także i ci, co mi dobrze życzą. Ale jeśli kończę żywot, w którego dalszym ciągu oczekuję tylko przykrości, to powinniście się cieszyć wy wszyscy – takie przynajmniej moje zdanie – że mi się szczęśliwie składa”⁶. Jeśli przyjmie się, że Sokrates skończył życie przy pomocy innych, urzędników, którzy dostarczyli mu cykuty, to można jego decyzję nazwać eutanazją, zwłaszcza, że miał wybór (zorganizowanie ucieczki przez wpływowych i możliwych przyjaciół było łatwe, mógł zamieszkać w dowolnym innym greckim mieście-państwie, np. w Sparcie czy w Syrakuzach). Ksenofont również opowiada się za eutanazją tak jak rozumiał ją Sokrates; Ksenofont pisze o nim: „Moim więc zdaniem dostąpił losu bardzo dobrego, najuciążliwszą bowiem część żywota porzucił, a [wypijając cykutę] dostąpił najłatwiejszej ze wszystkich rodzajów śmierci”⁷.

Epikur ciągle przypomina, że to nie sama śmierć jest istotna, lecz utrzymywanie jakości życia przed śmiercią i że właśnie na tym trzeba się koncentrować. „Mędrzec ani się życia nie wyrzeka, ani się śmierci nie boi, albowiem życie nie jest mu ciężarem, a nieistnienia nie uważa wcale za zło. Podobnie jak nie wybiera pożywienia ofitszego, lecz smaczniejsze, tak też nie chodzi mu bynajmniej o trwanie najdłuższe, lecz najprzyjemniejsze. [...] Troska o życie piękne nie różni się niczym od troski o jego piękny koniec”⁸.

Lukrecjusz, uczeń Epikura, opisuje dwie postawy wobec własnej śmierci:

„Czemuż nie uśmiechnięty
w błogi odchodzisz spokój, po uczcie życia syty?
Jeśli zaś żywot miałeś twardy i nieużyty,
szczęście marnie stracone – czyż na to jeszcze czekasz,
co przepadnie podobnie? Toż nędzny los człowieka
raczej ci warto przerwać i skończyć z tem cierpieniem”⁹.

Epiktet, filozof stoicki, żyjący w I wieku n.e., jak wszyscy stoicy, argumentował za tym, aby człowiek ciągle utrzymywał możliwość skrócenia swojego życia. Powołując się na

wiarę w Zeusa, pisze, że Bóg ten „drzwi pozostawił przed tobą otwarte na wypadek, gdy ci ten stan rzeczy nie będzie już odpowiadać. Wyjdźże już sobie, człowiecze, i przestań narzekać!”¹⁰. „Ten stan rzeczy”, o którym mowa w cytacie to coś, co jest dla danego człowieka nieznosne, a „otwarte drzwi” to metafora samobójstwa. **Stoicy przyjmowali, że dostatecznym powodem skrócenia własnego życia są „ciężkie do zniesienia przeciwności”**¹¹. Sądzę, że filozofowie ci pozostawiali drzwi zbyt szeroko otwarte. Lukrecjusz zamiast zwrotu: „warto ci”, mógłby użyć zwrotu: „zastanów się, czy...”. Jednak postawa, o której oni piszą jest, w obliczu nieodwołalnego kresu własnego życia, cenną postawą i pocuczającą. Cytat pochodzący z Epikteta przypomina też, że możliwość skrócenia życia nie wykluczała się z wiarą religijną, w tym przykładzie – starożytnych Greków czy Rzymian.

Horacjusz (*Ars poetica*, 467) zauważył: *Invitum qui servant, idem facit occidenti*, Kto ocala kogoś wbrew jego woli, czyni to samo, co zabójca¹². Horacjusz oczywiście zakłada, że druga osoba ma własną, nieprzymuszoną wolę. Plotyn dopuszcza samobójstwo tej osoby, której duszę ogarnia „szaleństwo”, tj. niekontrolowalna choroba psychiczna. „A jeśli zauważy początek szaleństwa? [...] Jeśli zagrozi, to samobójstwo można by zaliczyć do rzeczy koniecznych i wskazanych okolicznościowo, ale nie wskazanych bezwzględnie”¹³. Jako filozofowi, Plotynowi zależy na uniknięciu stanu, w którym człowiek nic nie rozumie z tego, co się z nim dzieje. Plotyn zakłada milcząco, że ktoś może drugą osobę poprosić o pomoc lub o asystowanie. Pliniusz: „Sądzimy, że nie trzeba tak bardzo kochać życia, by je przedłużać za wszelką cenę”¹⁴.

Ci, którzy argumentują na rzecz akceptowania samobójstwa argumentują na rzecz dopuszczalności eutanazji, gdyż najczęstsza jej forma, tj. bezpośrednia czynna niemal pokrywa się ze wspomaganym samobójstwem. Przytoczmy zdania D. Hume’a. Pisze on: „Przywróćmy ludziom im przyrodzoną wolność” w aspekcie kończenia własnego życia według woli¹⁵. Używając słowa „przywróćmy” ma na myśli okres, gdy życie społeczne i polityczne zostało opanowane przez chrześcijaństwo, w okresach wcześniejszych samobójstwo było akceptowane. Według niego samobójstwo może popełnić „zmęczony życiem, nękany przez ból i niedolę człowiek”, wtedy, gdyby „życie ludzkie było nieszczęśliwe i żywot mój, gdyby trwać miał dłużej, stałby się nieznośny”¹⁶. Dorzucmy, uprzedzając głosy pochopnych krytyków, że Hume, ani żaden inny rozumny człowiek piszący na rzecz akceptacji samobójstwa i eutanazji bezpośredniej, nie ma na myśli sytuacji, gdy ktoś tylko epizodycznie zapadł w stan depresji i jest szansa na wydobycie się z niego.

Żyjący także w XVIII wieku D. Diderot wyraźnie oddzielał samobójstwo w depresji czy w desperacji, przeciwko któremu był, od samobójstwa w obliczu nieuleczalnej choroby, za którym się opowiadał. Opisuje on swoją rozmowę z mężczyzną mającym zamiar samobójczy. Mówi mężczyzna: „I właściwie czemuż ten, kto patrzy na życie z wielkiej odległości i przekonał się, że jest ono bardzo nędznym podarkiem, że śmierć jest niczym i że przejścia można dokonać bez bólu, miałby doświadczać jakiegoś niepokoju?” Na to Diderot: „Odpowiedziałem mu, że gdyby był dotknięty jakąś straszną chorobą, na którą nie ma lekarstwa, to z miejsca mówilibyśmy o czymś przeciwnym [przeciwnym do konieczności zachowania życia]”¹⁷.

A. Schopenhauer podsumowuje własne przemyślenia: „Ogólnie biorąc, stwierdzamy, że ilekroć dochodzi do tego, że groza życia przeważa nad grozą śmierci, człowiek kładzie kres swemu życiu”¹⁸. Trzeba uzupełnić: lub skłonny jest to zrobić.

Stanowisko F. Nietzschego jest następujące: „W pewnych warunkach żyć dłużej wprost nie wypada. Wegetowało z dnia na dzień w tchórzliwej zależności od lekarzy i zabiegów, gdy już się postradało sens życia, prawo do życia, winno budzić głęboką pogardę w społeczeństwie. [...] Trzeba umrzeć dumnie, skoro żyć dumnie dłużej nie można.”¹⁹

Pojawił się tu ważny argument – pożegnanie z sobą, najbliższymi, ze światem; światome pożegnanie. Dodajmy jeszcze, że umierający musi mieć prawo powiedzieć sobie:

„Jaki piękny dzień i dobry, by w spokoju umrzeć” lub: „Jest mi obojętne czy dzień jest piękny czy brzydki, tego dnia chcę spokojnie zakończyć proces umierania”.

T. Kotarbiński pisze: Niech człowiekowi „wolno będzie robić ze sobą, co zechce, nawet odebrać sobie życie, jeśli to będzie dla niego złem mniejszym z możliwych, wedle własnego rozeznania. [...] Dojrzewa od lat problem eutanazji w ogóle, a eutanazji dobrowolnej w szczególności. Nie tylko nie przeszkadzać bezwzględnie i wszelkimi sposobami osobom, które po rozumnym namyśle chcą przyspieszyć koniec własnego bytu i wyzwolić się z nieuchronnej udręki, lecz przeciwnie, okazać im w tej mierze życzliwą pomoc prawną i techniczną. Niechże nauczy nas wszystkich medycyna, jak to robić, a podobno można to robić nie tylko bez męczarni, lecz nawet z poczuciem euforii. Nadzwyczaj to ważna dla walki z nieszczęściem umiejętność, tym ważniejsza, że dojrzewa również przeświadczenie, iż dobrowolne umyślne zakończenie własnego życia w warunkach eutanazji zdobędzie sobie uznanie jako forma końca najbardziej godna ludzi rozumnych, bez porównania rozumniejsza niż oczekiwanie na brutalny zwykle akt ze strony czy to przyrody, czy przypadku, czy wreszcie bliźnich działających nie w naszym, lecz własnym interesie. Ludzie boją się nie tyle śmierci, ile umierania. Uwolnić człowieka od tego lęku byłoby czynem wysoce dobroczynnym. Okazałoby się wtedy w jak wysokim stopniu możliwość pogodnego myślenia o własnej przyszłości zależy od uporania się z tą zmorą. Dopiero wtedy uroki życia możliwego zajaśnieją wszystkimi nie przyćmionymi barwami przed oczyma każdego z zadających sobie rozważnie dzisiaj to pytanie”²⁰. Kotarbiński pożądanę przez siebie umieranie ujął w prostym porównaniu:

Pragnęłoby się wiedzieć, że się gasnąć będzie.
Nie tak jak knot ogarka, pełzający w śwędzie,
Lecz jak żarówka, które w okamgnieniu gasną,
A przedtem do ostatniej chwili świecą jasno.”²¹

Jest to umieranie, które szczególnie ceni filozof, jednak zauważmy, że filozof nie występuje przeciwko tym, którzy chcieliby umierać inaczej, nie ustanawia „jedynie prawdziwej” normy umierania, jak czynią to przedstawiciele monoteizmu.

Z kolei Christian Barnard precyzuje niektóre ważne pojęcia. „Życie nie jest dla mnie równoważne z obecnością jednego czy dwóch objawów, jak oddech lub dająca się zarejestrować praca serca. Rozumiem przez nie raczej konglomerat doznań zmysłowych, określanych przez pacjenta jako stan «bycia żywym»; doznań, które z uwagi na samą swą subtelność i złożoność nie poddają się pomiarowi ani statystycznej analizie, znane zaś są na ogół jedynie pacjentowi i gronu bliskich. Często zna je również jego lekarz”²². Barnard uwzględnia jakość życia. Określa też, czym jest życie warte jego podtrzymywania, odróżniając „bycie żywym” od „egzystencji”, tj. stanu „śmierci za życia”.

Stawia pytanie: „Czy lekarz, za pomocą wszelkich środków, jakimi dysponuje, powinien starać się przedłużyć egzystencję pacjenta? Świadomie używam tu terminu <egzystencja>, gdyż często jest rzeczą sporną, czy stan, w jakim znajduje się pacjent, naprawdę można nazwać jeszcze życiem”²³.

Stwierdza: „To nie śmierć jest dla mnie [jako chirurga] problemem; problemem jest umieranie. Dlatego też eutanazję osobiście definiuję nie tyle jako dobrą śmierć, ile jako dobre umieranie właśnie”²⁴. Ma rację, choć termin „dobra śmierć” można rozumieć jako zarówno „dobre umieranie”, jak i „dobra śmierć”. Na podstawie swojej znajomości środowiska lekarzy stwierdza, że „wbrew opinii wyrażanym publicznie przez przedstawicieli profesji medycznej, większość lekarzy w głębi serca jest przekonana o tym, że eutanazja to dobry środek leczniczy w niektórych stanach terminalnych. Co więcej, nawet jeśli większość lekarzy nie jest skłonna się do tego przyznać, bierną eutanazję w praktyce medycznej się akceptuje – i jest ona powszechnie stosowana na oddziałach,

na których pacjenci przeżywają swe ostatnie godziny”²⁵. Przez „bierną eutanazję” autor rozumie tutaj odstąpienie od kontynuowania terapii; w okolicznościach, gdy eutanazja nie jest zalegalizowana zwykle używa się terminu „krypotoeutanazja” (choć najbardziej zasadnie jest mówić o zaprzestaniu terapii).

Barnard ugruntuje pogląd, że lekarze powinni pomagać także w skracaniu życia osób w stanie zejściowym lub w stanie „śmierci za życia”. „Społeczeństwo od wieków udziela lekarzom kredytu zaufania. Przedstawiciele tego zawodu korzystają zeń, aktywnie pomagając wydzwignąć się pacjentowi z choroby. Pozwolenie lekarzowi na to, by mógł aktywnie pomóc pacjentowi w procesie umierania, byłoby niczym innym, jak tylko zwykłym rozszerzeniem tego kredytu zaufania” [...]. Cytowany lekarz powtarza cierpliwie rzeczy elementarne: „Dlatego właśnie mówię, że większość tych, którzy uporczywie twierdzą, iż lekarzowi nie wolno aktywnie pomóc choremu skończyć z udręką umierania, nie ma po temu odpowiednich kwalifikacji. Dyskwalifikuje ich to, iż mówią o czymś, co ich nie dotyczy i nie angażuje emocjonalnie. Kompetentne opinie mogłoby wydawać w tej kwestii umierający lub ich bliscy – ci, którzy wiedzą, czego naprawdę potrzebuje chory, i ci, którzy oglądali na własne oczy przedłużające się cierpienia ukochanej osoby”²⁶.

Autor zbija w klasyczny sposób argument przeciwników dopuszczalności eutanazji powołujących się na teologię chrześcijańską: „Jeśli obawiamy, iż lekarz skracając życie nieuleczalnie chorego usurpuje sobie prawo do odegrania roli Boga, równie dobrze możemy twierdzić, że przedłużając życie nieuleczalnie chorego robi dokładnie to samo”²⁷.

Przypisy

¹ Seneka, *Listy moralne do Lucylusza*, tł. L. Joachimowicz, PWN, Warszawa 1993, s. 237–238.

² Seneka, *O pokój ducha*, XI, tł. L. Joachimowicz, PAX, Warszawa 1998, s. 570. Jeszcze jeden cytat: „Wcześniej się umrze czy później – na tym bynajmniej nie zależy; chodzi o to, czy się umrze dobrze czy źle” (*Listy moralne do Lucylusza*, 70 [VIII. 1] 4.).

³ Patrz Ciceron, *O celowości*, III, 18, 60; Diogenes Laertios, VII, 130.

⁴ Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, VII, 130.

⁵ Patrz Ksenofont, *Apologia*, w: tenże, *Wybór pism*, tł. J. Schnayder, Ossolineum, Wrocław 1966, s. 4.

⁶ Tamże, s. 12.

⁷ Tamże, s. 13.

⁸ List do Menoikeusa, w: Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, X, 126.

⁹ Lukrecjusz, *O naturze wszechrzeczy*, III, 937–943, tł. E. Szymański, PWN, Warszawa 1957, s. 116.

¹⁰ Epiktet, *Diatryby*, III, 8, tł. L. Joachimowicz, PWN, Warszawa 1961, s. 239.

¹¹ Tamże.

¹² Horacjusz, *Ars poetica*, 467.

¹³ Plotyn, *Enneady*, I, 9, tł. A. Krokiewicz, AKME, Warszawa 2000, s. 158.

¹⁴ Pliniusz, *Historia naturalis*, ks. 28, rozdz. 2. Nadmiermy, że w greckiej Massyli i na wyspie Keos zwyczajem było, że starcy dobrowolnie skracali swoje życie. Jeśli ktoś z nich chciał sam z siebie skrócić życie i podał zasadny powód, władze dostarczały mu (oficjalnie) cykutę (patrz Valerius Maximus, ks. II, rozdz. 6; Heraclides Ponticus, *Fragmenta de rebus publicis*, IX, Aelinus Claudius, *Varia historiae*, III, 37; Strabo, ks. X, rozdz. 5, § 6).

¹⁵ D. Hume, *O samobójstwie*, w: Dialog o religii naturalnej. Naturalna historia religii, tł. A. Hochfeld, PWN, Warszawa 1962, 221–233, s. 223.

¹⁶ Tamże, s. 225 i 227.

¹⁷ D. Diderot, *Samobójstwo pana Desbrosses*, Fragment z Salonu roku 1769, w: Tenże, *Mystyfikacja*. Sen D’alemberta, tł. J. Kott, PIW, Warszawa 1962, s. 75.

¹⁸ A. Schopenhauer, *O samobójstwie*, w: Parerga i paralipomena. Drobne pisma filozoficzne, t. II, tł. J. Garewicz, Wyd. Antyk, Kęty 2004, s. 275.

¹⁹ F. Nietzsche, *Zmierzch bożyszcz*, tł. S. Wyrzykowski, „bis”, Warszawa 1991, s. 95.

²⁰ T. Kotarbiński, *Być albo nie być*, w: *Medytacje o życiu godziwym*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986, s. 82–83.

²¹ T. Kotarbiński, w: *Fraszki polskie*, wybór i opracowanie J. Bułatowicz, Antyk, Kęty 2002, s. 220.

²² C. Barnard, *Godne życie – godna śmierć*, tł. J.K. Kelus, Santorski i CiS, Warszawa 1996, s. 8.

²³ Tamże, s. 50.

²⁴ C. Barnard, *Godne życie*, dz. cyt., s. 52.

²⁵ Tamże, s. 52.

²⁶ Tamże, s. 68 i 69.

²⁷ Tamże, s. 65.

Autor jest profesorem filozofii w Instytucie Filozofii Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. W nr. 4 i 5 2011 r. drukowaliśmy na naszych łamach teksty tego autora pt. Eutanazja – argumenty na rzecz legalizacji.

ŚWIADECTWA

Zenona MACUŻANKA

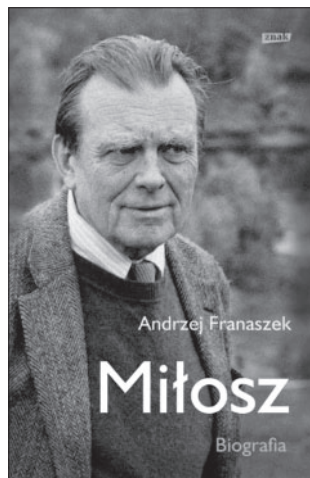
W kręgu wielkich biografii

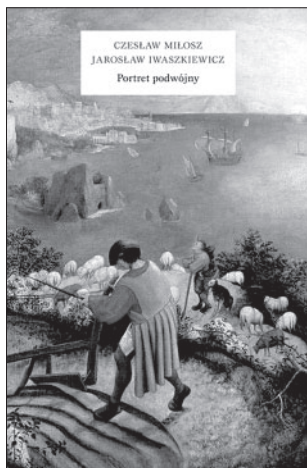
W ostatnich dwu latach polscy wydawcy zaoferowali kilka poważnych publikacji z dziedziny biografii literackich. Poświęcone one były twórczości wybitnych pisarzy. Oto one: Andrzej Franaszek „Miłosz”, Radosław Romaniuk „Inne życie Jarosława Iwaszkiewicza”; Hanna Kirchner: „Nałkowska albo życie pisane”; Mariusz Urbanek: „Broniewski. Miłość, wódka, polityka”. Do tych publikacji zbliżone były prace: Emila Pasierbskiego: „Miłosz i Putrament. Żywy równoległy”; „Czesław Miłosz, Jarosław Iwaszkiewicz. Portret podwojny” pod redakcją Barbary Toruńczyk, a także nieco wcześniejsza książka Marka Radziwona „Iwaszkiewicz. Pisarz po katastrofie”.

Były to publikacje o dużych walorach literackich i merytorycznych. Ich autorzy obejmowali swym spojrzeniem nie tylko twórczość danego pisarza, ale także rysowali szerokie tło, na którym powstawał dorobek autorów. A był to rozległy okres, w którym przyszło żyć i tworzyć ludziom należącym do ścisłej czołówki polskiego pisarstwa. Warszawa i Wilno po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku aż po czas nam współczesny i konflikty lat osiemdziesiątych XX i początku obecnego wieku. Narodziny niepodległości i cud odzyskanego własnego śmietnika drugiej Rzeczypospolitej aż po zaczątki powstawania i zwycięstwo Solidarności. A więc nie tylko różne systemy społeczne i polityczne, ale też bogactwo nurtów i koncepcji literackich i filozoficznych, sporów i konfliktów, od Skamandra i Żagarów aż po różnorodność pokolenia „Współczesności” i ich następców.

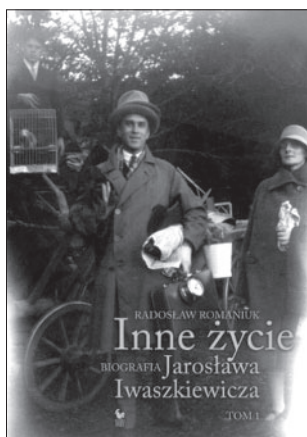
Szczególnie liczne i odznaczające się wszechstronnością dociekania poświęcone zostały twórczości Czesława Miłosza, co, rzecz jasna, nie było przypadkowe. Przez szereg lat odsunięty był na daleki plan polskiego życia literackiego w rezultacie wyboru przez niego pobytu na Zachodzie na początku roku 1951, a więc niemal w samym szczycie zimnej wojny. Odtąd wymieniany jedynie w indeksach bibliograficznych, wprawdzie pamiętany przez ludzi ciągle mu bliskich, ale politycznie skazany na zapomnienie. Ważne było założenie: „co z głowy, to z serca i z pamięci”. Nie znaleźmy jego bieżących publikacji. Jednak jego wiersze powracały i krążyły w antologiach, przypomnieniach, choć nader rzadko. Wreszcie nadszedł dla Miłosza przełom; rok 1980 i nagroda Nobla, przemiany wokół Solidarności, walka o wolność słowa podjęta energicznie w latach osiemdziesiątych. To pozwoliło utworzyć dla polskiego czytelnika pełny obraz jego wadzenia się z losem, z polityką, z wierną mu Kaliopie.

Trudnego zadania podjął się **Andrzej Franaszek** i wywiązał się z niego bardzo kompetentnie i uważnie, nie kryjąc przed czytelnikiem swych licznych znaków zapytań o podjęte decyzje; o cierpienia, jakie niosło zerwanie z krajem, z przyjaciółmi. O opuszczenie Warszawy w momencie wybuchu Powstania. Te ostatnie pytania padały często i nie kryły





niuk, w niewielkiej tylko odległości czasowej, wydało biografie poświęcone Iwaszkiewiczowi. Jego długie, pracowite i pełne pasji życie stało się wymarzone obiektem dla badaczy, biografów. Także dlatego, że miał, błogosławiony przez ludzi pióra, utrwalaony w piśmiennictwie, zwyczaj notowania na bieżąco swych przeżyć, refleksji, a także swych niegasnących zainteresowań dla wszelkich przejawów życia swego i swych najbliższych: żony, córek, ukochanych, przyjaciół, kolegów. Listy, kartki, zapisy w dzienniku, morze dokumentacji uważnej, czułej, literacko najczęściej pięknej, choć niepozabawionej narzeką na los, na biurokrację, na niedbalstwo ludzkie. Za to teraz spotyka go wdzięczność ludzi pióra, którzy czerpią z pierwszej ręki wiedzę o tym, jak żył, kochał i cierpiał, ciągle pragnący uczucia i go niesyty.



wątpliwości autora biografii. Na opasły, prawie tysiącstronicowy tom pt. „Miłosz” trzeba było zapisywać się do swych bibliotek w kolejce.

Znaki zapytania stawia też i próbuje dać odpowiedź w materiałach praca podjęta przez **Barbarę Toruńczyk**; to zestawione z listów, wypowiedzi i wierszy, nacechowane radością z poznania i cierpieniem, kiedy przyszło zerwanie, stosunki dwu przyjaciół od serca, Iwaszkiewicza i Miłosza, w tomie „Portret podwójny”. Czytamy ich wypowiedzi z niesłabnącą ciekawością. Zwłaszcza listy młodego Miłosza do Jarosława, pełne uwielbienia dla jego poetyckich poszukiwań, własnych niepokojów młodzieńczych, i marzeń o nieznanym świecie. Tragizm zerwania tak utrwalonej już przyjaźni i wreszcie moment pojednania dawnych przyjaciół, moment wcale niełatwy, pozostawiający po sobie blizny w pamięci.

Drugim beneficjentem naszych biografów stał się z kolei Jarosław Iwaszkiewicz. Jest ewenementem kulturalnym, że dwu warszawskich uczonych, **Marek Radziwon** i **Radosław Romaniuk**, w niewielkiej tylko odległości czasowej, wydało biografie poświęcone Iwaszkiewiczowi. Jego długie, pracowite i pełne pasji życie stało się wymarzone obiektem dla badaczy, biografów. Także dlatego, że miał, błogosławiony przez ludzi pióra, utrwalaony w piśmiennictwie, zwyczaj notowania na bieżąco swych przeżyć, refleksji, a także swych niegasnących zainteresowań dla wszelkich przejawów życia swego i swych najbliższych: żony, córek, ukochanych, przyjaciół, kolegów. Listy, kartki, zapisy w dzienniku, morze dokumentacji uważnej, czułej, literacko najczęściej pięknej, choć niepozabawionej narzeką na los, na biurokrację, na niedbalstwo ludzkie. Za to teraz spotyka go wdzięczność ludzi pióra, którzy czerpią z pierwszej ręki wiedzę o tym, jak żył, kochał i cierpiał, ciągle pragnący uczucia i go niesyty.

Księga **Radosława Romaniuka**, niedawno opublikowana, dostarcza nam znakomitej lektury, ukazując bogate tło, na którym kształtowała się i dojrzewała sylwetka duchowa pisarza, wyrażana w poezji, prozie i dramacie. Jest to dopiero tom pierwszy; obejmuje on czas od narodzin pisarza aż po dni poprzedzające wybuch drugiej wojny światowej. Romaniuk prezentuje postać pisarza i jego najbliższych szczegółowo, przejrzysto, ujawniając ich kłopoty finansowe, trudne związki osobiste i przyjacielskie, opisuje podróże i wizyty, jednym słowem poznajemy niemal życie codzienne rodziny.

Skromnie lecz interesująco wzbogacona licznymi zdjęciami, pieczołowicie udokumentowana, książka stanie się z pewnością rarytasem dla miłośników pisarstwa Iwaszkiewicza, dla bibliofilów. Spojrzenie Romaniuka wolne jest od uprzedzeń, ale i przemilczeń, autor podejmuje niezwykle otwarcie sprawę życia intymnego pisarza, traktowanego dotąd w sposób bardziej wieloznaczny i w praktyce zakłamywany. Dla czytelników wprowadzonych w temat pozostaje frapujące pytanie, jak spojrzy Romaniuk na sprawę Związku Literatów Polskich i jak oceni rolę prezesa i jego politykę małych kroków w latach sześćdziesiątych i późniejszych. Na to przyjdzie z pewnością jeszcze poczekać.

W nieco wcześniej opublikowanej biografii **Marka Radziwona** dominuje odmienny sposób prezentacji sylwetki bohatera książki. Zdecydowanie skromniejszy jest też materiał, jakim dysponował au-



tor. Pisarz ukazany jest w kontekście swojej epoki. Pierwsza wojna światowa, służba w wojsku i doświadczenia na froncie ukraińskim: to wszystko sprawiło, że musiał on opuścić Ukrainę. Naturalnym celem staje się Warszawa i szukanie w niej własnej ścieżki życiowej. Jego pasją jest literatura i na tej drodze postanawia oprzeć swą egzystencję, początkowo kontynuując jeszcze funkcje korepetytora i opiekuna młodych ludzi.

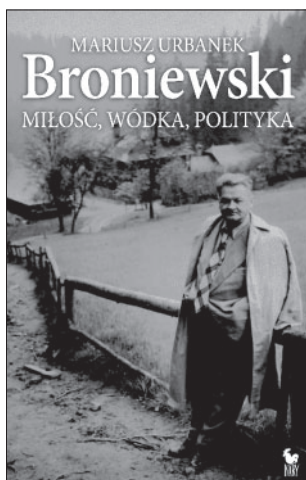
Jest wierny swym wewnętrznym pragnieniom i wyzwaniom epoki, jednak odrębny we własnej estetyce, jakby nieco poza modą. Przejrzyście narysowana sylwetka pisarza podlega znacznie zaostrożonej krytyce, gdy ujawnia się stosunek Iwaszkiewicza do sytuacji w kierowanej przez niego organizacji skupiającej polskich literatów, symbolicznie uwidoczniła w tytule biografii „Pisarz po katastrofie”. Postawę Prezesa cechował dystans wobec protestu 34 pisarzy w sprawie cenzury i braku papieru oraz przekazania tegoż listu korespondentowi zagranicznemu. Zdaniem biografy, drogi środowiska literackiego i Prezesa związku literatów, rozeszły się wtedy ostatecznie.



Pośród książek kreślących profile literackich koryfeuszy warto w tym miejscu wymienić rzecz **Emila Pasierbskiego** pt. „Miłosz i Putrament. Żywoty równoległe”. A więc zderzenie dwu postaci poróżnionych, stojących na przeciwstawnych biegunach ówczesnego życia. Jednak wiemy, że w młodości Putrament zabiegał o przyjaźń Czesława, oceniał wysoko walory poetyckie jego twórczości, dla siebie niedostępne. Emil Pasierbski postawił na ciekawą kartę w życiu tych pisarzy. Putrament w roku 1950 zrezygnował z pracy w dyplomacji i stanął się w Warszawie, aby tu podjąć walkę o wprowadzenie w życie realizmu socjalistycznego. Fakt ten zbiegł się z zatrzymaniem paszportu dyplomatycznego Miłosza zatrudnionego w ambasadzie polskiej w Waszyngtonie, goszczącego właśnie w Warszawie. Dawne poparcie Putramenta dla Miłosza zmalało do zera. To spowodowało konflikt personalny ludzi kiedyś bliskich, a teraz rozdzielonych ostrą walką polityczną. Miłosz wyznał publicznie motywy polityczne swego wyboru, a następnie w głośnej publikacji „Zniewolony umysł”

opisał, w konwencji pamfletu, charakterystykę postaci sekretarza generalnego. Nie oszczędził Putramentowi niczego, dostrzegł jego ograniczoność w pojmowaniu doraźnych zadań literatury, nakreślił wręcz karykaturalną w swej brzydocie postać. W ten sposób przekreślił to, co w okresie Żagarów łączyło młodych, protestujących przeciw niesprawiedliwościom ówczesnego układu społecznego. Niepokoje i szlachetne zrywy młodości trudno jednak z duszy wykreślić. Sprawa ta, szczególnie pod koniec życia budziła niepokój i troskę obu pisarzy. Przypomnienia tamtego okresu trapiły zarówno Miłosza i nie ominęły Putramenta. Świadczą o tym wyznania Miłosza w korespondencji z Aleksandrem Watem. Przyznał tam, że zostając w kraju, kto wie, czy nie mocniej niż Putrament, uległby stalinizmowi. Natomiast Jerzy Putrament na spotkaniu literatów w Radziejowicach ujawniał żywotność swych odczuć o znaczącym wpływie Miłosza na polskie życie literackie i należnej mu nagrodzie Nobla, zanim nagroda stała się faktem. W ten sposób powrócił ten dramatyczny konflikt i postać sekretarza generalnego. Putrament wszak nie tylko popełniał w swoim życiu błędy, do których zresztą chętniej niż inni się przyznawał, ale także wiele swoich sił i talentów poświęcił życiu środowiska pisarskiego. Książka Emila Pasierbskiego jest interesującym, wnikliwym przyczynkiem do pełniejszego portretu Miłosza. A jednocześnie przywołuje postać Jerzego Putramenta, autora „Rzeczywistości”, wielu tomów dziennika pt. „Pół wieku”, od lat nieobecny w opracowaniach i bilansach życia literackiego.

Wracając do wielkich biografii, należy wymienić rzecz Hanny Kirchner pt. „Nałkowska albo życie pisane”. Autorka książki wielce zasłużyła się w publikacji pięciotomowego wydania „Dzienników” tej popularnej w dwudziestolecie i tuż po wojnie pisarki, wyposażając je w kompetentne i bogate przypisy i komentarze. Dzięki opracowaniom Kirchner poznaliśmy wojenne losy autorki „Granicy”, jej rodziny i najbliższych. Jej trudne życie, które jednak potra-



fiła związać ze swym powołaniem twórczym, dążąc w najgorszych warunkach do utrwalenia prawdy o życiu Polaków w latach okupacyjnej biedy i udręki. Nadać im ludzki, humanistyczny sens.

W nurt wymienionych biografii wpisał się Mariusz Urbanek swą książką o Władysławie Broniewskim pt. „Broniewski. Miłość, wódka, polityka”. Jest to rzecz o wyrażnie skromniejszych, popularnych ambicjach, z mniejszą dokumentacją i powściągliwą analizą, zważywszy trudności towarzyszące z reguły komentowaniu tematu stylu poetyckiego. Broniewski zostawił wprawdzie „Pamiętnik 1918–1922”, a więc obejmujący niewielki fragment jego życia. Z poetą wiązało się wiele opowieści i anegdot, barwnych i wdzięcznych, choć zbyt eksponujących jego skłonność do wzmocnienia nastroju alkoholem. Szanowali go krytycy i czytelnicy, a uwielbiały zwłaszcza kobiety. Nie było w naszej literaturze twórcy, który, jak on, potrafił ująć serca ludzi swoją liryką. I nikt, jak on, nie zdołał wzbudzić drżenia w polskim sercu, choćby tymi słowami: „Kiedy przyjdą podpalić dom, ten, w którym mieszkasz – Polskę...” Wyrósł w otoczeniu, które kultywowało tradycje powstańcze. Dojrzał w środowisku postępowej, socjalistycznej inteligencji. Łączył te dwa nurty w swej pieśni, nadał im własne brzmienie.

Osobne miejsce zajmuje okazały tom Rafała Żebrowskiego, poświęcony odtworzeniu życiorysu pisarza młodszego pokolenia, Zbigniewa Herberta. Jako bliski członek rodziny Herbertów, autor biografii oddał z prawdziwą pieczołowitością jej dzieje w międzywojennym Lwowie; lata dziecięce i szkolne poety, aż po wyjazd z rodzinnego miasta do Krakowa w obawie przed nadciągającym frontem wojennym, niosącym dla przyszłości zapowiedź zmian dotychczasowych stosunków politycznych i społecznych. Będzie to prawdziwa kopalnia dla licznych krytyków i biografów, pasjonujących się dziejami tego wybitnego poety.

Znaczenie wyliczonych okazałych objętościowo i wybitnych pod względem interpretacyjnym pozycji ma ogromne znaczenie dla naszej współczesnej kultury. Powstają oto syntezy, ukazujące dorobek wybitnych indywidualności, ukazanych na szerokim tle obyczajowym, społecznym i ściśle literackim. Wzbogacone materiałem z pierwszej ręki, z wyznań w listach, wywiadach, przetworzonych w materiale ściśle literackim. Takie właśnie ujęcia najbardziej pociągają czytelników. Nad życiem wybitnych jednostek, które żyją często długo, jak na przykład Czesław Miłosz (1911–2006), czy Jarosław Iwaszkiewicz (1894–1980), i nieco krócej ich koledzy po piórze: Zofia Nałkowska (1884–1954), Władysław Broniewski (1897–1962) przetoczyły się całe epoki. Wspomnijmy choćby dwie wojny światowe, czy dwukrotne odzyskanie niepodległości przez Polskę, co wywarło wielki wpływ na losy tych ludzi i ich najbliższe otoczenie. Jednostki utalentowane i wrażliwe szczególnie mocno odczuwają wielkie ruchy swej epoki, z siłą oddają jej tragedię i wloty.

Iwaszkiewicz i sporo młodszy Miłosz szukają własnej indywidualnej drogi. Starszy wspiera młodszego, dostrzegając w nim talent, a podczas wycieczki kajakiem aspirujący do literackich szlifów Putrament służy im parą sprawnych rąk, za co zyskuje życzliwość bardziej już znaczących kolegów. Młodzi znają się, przyjaźnią się i śledzą nawzajem

swe poszukiwania twórcze. Potem niektórzy z nich spierają się, a nawet walczą ze sobą, lecz stają wobec ważnych wyborów. Bo w istocie za poszukiwaniem własnego stylu, wyrazu i szkoły literackiej oraz filozoficznej stała sprawa polska. Kształt socjalny i polityczny kraju, jego miejsce w świecie. Ten krąg spraw nurtuje szczególnie głęboko Młode Wilno skupione wokół Henryka Dębińskiego, a także różne odłamy i grupy lewicowe w Warszawie, lansujące idee poezji proletariackiej, którą to ideę wspierał Władysław Broniewski, nadając jej własne, czułe piętno.

Z wielkich biografii naszych wybitnych twórców wylaniają się minione spory i ożywają wielkie przyjaźnie. Przybliżają wielkie kampanie, które zostawiły swe ślady, jak choćby walka o realizm socjalistyczny, odrzucony wkrótce, uznany za natrętą próbę wtłoczenia prawdy życia w biurokratyczny schemat. Temat ten, zamknięty na szczęście w kilku zaledwie latach 1950-1954, stał się przedmiotem licznych sporów i walk słownych. Związek Literatów Polskich stanowił agorę, na której funkcjonowała opozycja, raz bardziej aktywna, to cichnąca, lecz ustawicznie upominająca się o swobodę wypowiedzi, o godne warunki bytowania. Byli w tym ciągle obecni ludzie lewicy, popierający realne żądania. Przełom październikowy w pewnym sensie zamykał błędną politykę władz, nadając nowy impuls życiu kulturalnemu. Prostował niektóre ścieżki, odrzucając na trwałe wtrącanie się władz w sprawy warsztatu twórcy, w jego indywidualne poszukiwania prawdy życia. Pozostały ograniczenia wynikłe z tamtych układów politycznych. Jarosław Iwaszkiewicz był trzecim w kolejności prezesem, po Leonie Kruczkowskim i Antonim Słonimskim; ten ostatni prezesował w latach 1956-1959. Jednak najostrzejsza kampania polityczna miała miejsce w czasach sprawowania tej funkcji przez autora „Sławy i chwały”. Tak zrodził się w 1964 roku „List 34 pisarzy” i smutne dzieje kontrlistu. Fakty te ujawniły, że władza nie zdołała, mimo chęci i działań pojedynczych ludzi, ułożyć współpracy z inteligencją twórczą.

Pozostały jednak potrzeby codzienności, potrzeby mądrego mecenatu i wokół niego funkcjonujących dziedzin życia kulturalnego. Te i dziś są trudne, niedocenione. Przywołują porównania z czasami PRL-u, nie zawsze pochlebne dla współczesnej władzy.

Wielkie przyjaźnie, chwilowo porzucone, przerywały tamy narosłych sprzeczności i ożywiały dawną bliskość, może już, nie jak dawniej, gorącą. Ale czy zawsze mądrzejszą zdobytym doświadczeniem? Czy dawne sprzeczności przezwyciężono? Powracają problemy, na które nie będzie jednej słusznej odpowiedzi, ale które stawiać trzeba.

Swoistego rozliczenia z przeszłością dokonał **Jerzy Putrament**. Powrócił on do sprawy Miłosza już po fakcie przyznania nagrody, w momencie największego zakrętu w naszej historii współczesnej, tj. tuż przed ogłoszeniem stanu wojennego. Na spotkaniu w Moskwie przedstawiciele związków literatów z krajów nazywanych skrótowo demokracjami ludowymi dziennikarze czekali na wypowiedź polskiej delegacji w trakcie konferencji prasowej. Putrament, przewodniczący delegacji domyślał się, na jakie słowo czekają, usłyszeli je więc; a tak to przedstawił Janusz Krasiński w tomie „Przed agonią”: „Znam waszą ciekawość co do mojego sądu o ostatniej nagrodzie Nobla. Otóż powiadam, Czesław Miłosz, rozumiecie, to pisarz lewicy i słusznie ją otrzymał”. Zdumionym dziennikarzom zaczął recytować trudny i piękny wiersz Miłosza pt. „Naród” napisany w 1945 roku w Krakowie. Janusz Krasiński, wieloletni więzień w okresie 1947-56, teraz ukryty pod postacią Szymona Bolesty, zrymujący się często na sekretarza, słuchał z uznaniem tych słów.

Biografistyka polska zaowocowała oto pięknie, podążając w wielu kierunkach, po trudnych ścieżkach rozwoju polskiej kultury.

Bibliografia

- Andrzej Franaszek, *Miłosz*. Wydawnictwo Znak Kraków 2011.
Marek Radziwon, *Iwaszkiewicz. Pisarz po katastrofie*. Wydawnictwo W.A.B. Warszawa 2010.
Radosław Romaniuk, *Inne życie Jarosława Iwaszkiewicza*. Biografia. t. I. Iskry. Warszawa 2012.
Czesław Miłosz, *Jarosław Iwaszkiewicz. Portret podwójny*. Zeszyty Literackie. Warszawa 2011.
Emil Pasierbski, *Miłosz i Putrament. Żywoty równoległe*. Wydawnictwo W.A.B. Warszawa 2011.
Hanna Kirchner, *Nalkowska albo życie pisane*. Wydawnictwo W.A.B. Warszawa 2012.
Mariusz Urbanek, *Broniewski. Miłość, wódka, polityka*. Wydawnictwo W.A.B. Warszawa 2011.
Rafał Żebrowski, *Zbigniew Herbert*. PIW. Warszawa 2011.



Jerzy ŁADYKA

Dziwność świata i szczęście

Autorem *Traktatu o szczęściu* jest Jean D'Ormesson, myśliciel francuski, autor wielu utworów z dziedziny filozofii i literatury, działacz w dziedzinie kultury, obecnie prezes Francuskiej Akademii Literatury.

„Pewnego lipcowego poranku, tonącego w żarze upalnego słońca, zadałem sobie pytanie o to, skąd pochodzimy, dokąd zmierzamy i co robimy na tej ziemi”. Słowa te otwierają „Traktat” zatytułowany w oryginale „C’ est une chose etrange a la fin que le monde”. (Cóż to jednak za dziwna rzecz ten świat).

Pytanie autora ma wymiar uniwersalny, jest wyrazem poczucia ludzkiej tożsamości.

Zdrowo myślący człowiek pochłonięty kołowrotem praktycznej codzienności zastanawia się przecież nad kwestią skuteczności i uczciwości swojego postępowania, nad sensem swojego życia. Odczuwa potrzebę zatrzymania się, pomyślenia.

Postęp zmienia nasz sposób odczuwania i myślenia, ale nigdy nie odmienił naszej ludzkiej doli: „Rodzimy się, cierpimy, umieramy, nienawidzimy się z nim rozstawać. Miałem szczęście. Urodziłem się Nie skarzę się z tego powodu. Umrę oczywiście. Tymczasem żyję”.

A żyć, to znaczy poznawać. Docierać do przyczyn dziejących się rzeczy, przewidywać skutki zachowań innych i swoich własnych. Dociekać prawdy o rzeczach, o procesach, o postawach ludzkich, niezbędnej w rozumnym postępowaniu, we właściwym poruszaniu się w świecie. A także zaspokajając potrzebę myślenia – zadumy o rzeczywistości transcendentnej, pozaempirycznej. Myślenia o początku świata, życia i człowieka – o początku wszystkiego. „Zaczątek wszystkiego, to największy mit ludzkości”. Podobnie brzmią słowa pisarza angielskiego, M. Oakeshotta: „Jako ludzie cywilizowani jesteśmy spadkobiercami rozmowy jak rozpoczęła się w pierwotnym lesie i trwała oraz rozwijała się przez stulecia. Jest to rozmowa, która toczy się zarówno w sferze publicznej, jak i którą prowadzimy sami ze sobą”. Wydaje się, że *Traktat o szczęściu* mieści się w ramach takiej rozmowy.

* * *

Kilka setek tysięcy lat życie ludzi pierwotnych miało nim zaczęli mówić, wykorzystywać ogień, korzystać z nowych sposobów działania, kierować swą świadomość na przyszłość i obracać wstecz. Mieli jeden cel – przeżyć. Ale już zapoczątkowali historię, gdy potrafili wytworzyć nowe, do tej pory nieznanne przedmioty, odpowiednio do swych potrzeb. Życie było krótkie, rzadko udawało się osiągnąć trzydzieści lat. Człowiek był skazany na wiele nieszczęść i cierpienie ze strony nieznanego sił przyrody, chorób, dzikich bestii i morderczych wojen. Strach i troska o zachowanie życia dyktują mu mgliste myśli o innej rzeczywistości, gdzie okrutne i wymagające bóstwa dysponują ludzkim życiem. Śmierć staje się na zawsze ludzka obsesją. Co jest po śmierci, kto jest władcą wszystkiego? Hinduistyczna myśl antyczna tworzy obraz **Jedynego**, który sam istniał już przed stworzeniem świata. Stało się to początkiem idei bytu, który wyrasta ponad mnogość czczonych bóstw. „Nic wtedy nie istniało, ani widzialnego, ani niewidzialnego. Nie było ani śmierci ani nieśmiertelności. Nic nie zapowiadało dnia ani nocy. Tylko on oddychał, nie tworząc żadnego oddechu, zamknięty w samym sobie. Istniał tylko on...A z jego mądrości wynurzyła się **pierwsza przyczyna**”.

Mijały tysiąclecia, historia świata i ludzkiego świata szła naprzód. W różnych miejscach rodzą się idee, które łączy pojęcie Boga. Bóg stał się w obszarze euroazjatyckim dominującą siłą. Bytem nadprzyrodzonym, stwórcą świata i ludzi. Stało się to początkiem wyrazistego modelu wszechświata. Rozpoczęła go pierwsza księga żydowskiej Tory zdaniem: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem. Ciemność legła nad powierzchnią bezmiaru wód, duch Boży unosił się nad wodami. Wtedy Bóg rzekł: «Niechaj się stanie światłość». I stała się światłość. Bóg widząc, że światłość jest dobra, oddzielił ją od ciemności. I nazwał Bóg światłość dniem a ciemność nazwał nocą”. Abraham, Mojżesz, Jezus, Mahomet – są filarami systemów religii, których podstawę stanowi Biblia. Ich istotą jest wiara, jako wewnętrzne przekonanie, że prawdziwa wiedza o boskim akcie stworzenia jako pierwszej przyczynie istnienia świata zawarta jest w Objawieniu Boskim przekazanym ludziom w Biblii. Rozum dany jest człowiekowi przez Boga, ale człowiek dążąc do prawdy wsparty musi być przez wiarę. Wielkie znaczenie przypisuje autor biblijnym słowom: „Niech stanie się światłość... To dzięki temu świat powstaje, jest widoczny, nieznan i wyjaśnialny. To, że istnieje jakiś związek między światłem wszechświata a światłem umysłu, jest nieprzemijającym cudem”.

W świecie kultury śródziemnomorskiej czasów średniowiecza z wyobrażeniem Boga łączy się zjawisko męczarni i okrutnej śmierci. „Ludzie znajdują w Bogu, w wyobrażeniu, jakie o nim mają, prawdę absolutną, i chodzi im o to, by rozpowszechnić ją ogniem i mieczem”. Autor nie aprobuje sensu pojęcia „Bóg” w powyższym znaczeniu. Analizuje tę kategorię w perspektywie pytania: Czy świat w zaraniu swych dziejów skonstruowany został w swej doskonałej strukturze przez samego siebie czy też przez „Kogoś” (coś) z zewnątrz. Bóg żydów i chrześcijan – katolików jest na podobieństwo władcy ziemskiego, który stwarza i kontroluje wszystko, każdy proces istnienia i życia, ruch planet, treść myśli jednostki i drgnienie skrzydeł motyla. Głos „starca”, *alter ego* Boga uczestnika dyskursu prowadzonego w *Traktacie* powiada „Dwa ludy zadziwiają mnie bardziej niż inne, Żydzi mnie wymyślili o to wielka rzecz, Grecy pierwsi przejrzeni moje tajemnice”.

* * *

„Dwieście lat po Homerze, pewien osobnik zwany Talesem, uważany za roztargnionego i nieporadnego w życiu codziennym, z powodu ciągłego przypatrywania się gwiazdom, podejrzewa, że słońce rzuca światło na Księżyc i zakłada pierwszą szkołę filozofii i geometrii”. Ówczesni filozofowie, a ściślej uczeni o wszechstronnych umysłach uznali, że natura powinna się znaleźć na pierwszym miejscu dociekań poznawczych. Z filozofii wyłoniła się nowa formacja naukowa. To był początek nowej formacji poznawczej – początek nauki.

W intelektualnych dociekaniaх wyjaśniających zjawiska przyrodnicze człowiek zajmuje miejsce mitologii. Geologia, biologia, astronomia wyrastają na gruncie matematyki, która traktowana jest w programach szkół równoznacznie z filozofią. Pitagoras uważa, że liczba jest istotą wszystkich rzeczy, Demokryt formułuje teorię atomistycznej materii, Parmenides i Heraklit szukają odpowiedzi na pytanie jaka substancja jest podstawą wszystkich zjawisk, które bez przerwy następują po sobie, co kryje się za tym co przemija. Parmenides twierdzi, że świat otaczający człowieka, to świat pozorów. A z pozorów nie może wyłonić się prawda. Jedyną prawdę wyrażają dwa słowa „byt jest”. Jeżeli byt jest, to nie jest możliwe, aby był niebyt”. Arystoteles uważa, że świat skoncentrowany wokół ziemi nie ma początku ani końca. Wprowadza do metafizyki jako pierwszą przyczynę pojęcie formy. Sprowadza badania filozoficzno-naukowe na ziemię. Do tego nurtu nawiązują filozofowie okresu nowożytności.

* * *

W czasach nowożytnych tworzy się nowy model wszechświata i człowieka. Pojawia się wyraźny sprzeciw wobec wszelkiej zewnętrznej woli, wszelkich boskich zamiarów. Sprzeciw wobec wersji dominacji boskiej, oznaczającej ze stworzenie świata przez Boga to tyle co zaplanowana cała historia ludzkości zmierzająca do z góry ustalonego celu. Zabójczą dla religii i dla wiary dominującą nad rozumem okazała się teoria ewolucji sformułowana przez Darwina.

Człowiek nie jest tworem Boga, który go kształtuje na swoje podobieństwo. „Ludzie wzięli swój początek od zwierząt, te z kolei od roślin, a one od bakterii... Jeśli małpy i my, psy i koty, tygrysy, słonie, żółwie i gąbki, algii i bakterie mamy wszyscy wspólne źródło pochodzenia, czy Bóg odgrywa jeszcze jakąś rolę w ewolucji życia? Czy zajmuje jeszcze jakieś miejsce w tym świecie pozostawionym samemu sobie? „Bóg stał się zbyteczny”. **Darwin dowodzi, iż proces życia trwał miliony lat osiągając produkt w postaci człowieka. Zarówno świat jak i człowiek ujrzany został w wymiarze czasowym. Nie było to do pomysłenia w koncepcji aktu stwórczego.** Dynamiczny rozwój nowych technik i matematyki pozwala wnikać coraz głębiej w poznawaniu praw rozszerzającego się wszechświata jak ogólna teoria względności, teoria kwantów czy zasada nieoznaczoności.

Jest niewątpliwe, że pojawienie się życia i życia człowieka stało się decydującym faktem dotknięcia poznawczego tajemnicy wszechświata, „Czym byłby świat, przestrzeń, czas, światło bez kogoś, kto mógłby to wszystko widzieć, słyszeć, czuć i rozumieć... trop wyjaśnienia zagadki trzynastu miliardów lat historii pojawia się dopiero po wynalezieniu **myśli** kilkadziesiąt tysięcy lat temu. A obraz całości wciąż sporny. „Dotarcie do rozwiązania zagadki pierwszej przyczyny świata wydaje się niemożliwe, to jednak nie stanowi muru nieprzekraczalnego dla człowieka. Środkiem rozszerzania się jego wiedzy jest **myśl**. W opisie dziejów myśli ludzkiej Biblia wskazująca drogę do Prawdy, jak i Koran mieniący się samą Prawdą pozostają w dziejowym rozwoju nauki poza sporem poznawczym. Autor książki – pisze J. D’Ormesson – „nie stawia sobie za cel napisania traktatu teologicznego, ani propagandowego dzieła... Był wychowany równocześnie w religii katolickiej i w duchu laickiej tolerancji. Jest agnostykiem. Nie wie, chciałby wiedzieć lub przynajmniej wiedzieć trochę więcej. Zapisuję te stronicę, próbując ujrzeć wszystko trochę wyraźniej”. **Zauważmy wszakże, iż autor równocześnie wyraża pragnienie, aby się z niewiedzy agnostyka wyrwać, pójść do przodu, wiedzieć więcej.** Rozważania autora świadczą, że granic niemożności pogodzenia stanowisk przeciwstawnych nie należy absolutyzować. **Doktryna Kościoła wypracowana w trakcie kolejnych soborów nie stanowi dla autora wartości niezbędnej dla zrozumienia tajemnicy wszechświata.** Ale nieukrywanemu dążeniu do uznania Boga utożsamianego z wiarą i nadzieją nie da się zaprzeczyć. Bóg – „To kraina fikcji, nienapisanej powieści, poezja bez słów. To Królestwo nadziei, Królestwo wiary. Każdy może tam umieścić to, co chce. I nawet zaprzeczyć tej sferze i widzieć w niej tylko złudzenie, mistyfikację, oszustwo. To właśnie tę ciemną noc ludzie nazywają Bogiem” To nie jest oczywiście Bóg teologii, ujęty w klamry dogmatów formułowanych przez instancje Kościołów i podawany do wierzenia wyznawców. To jest Bóg zrelatywizowany do granic indywidualnego przeżywania wiary i nadziei. „Nie wiem czy Bóg istnieje, lecz od zawsze mam głęboką nadzieję, że tak jest. Bo powinno jednak istnieć gdzieś indziej coś, co jest, choć trochę bliższe – niż wszystko, co dzieje się u nas – sprawiedliwości i prawdzie, których nie przestajemy szukać, za którymi gonimy i których nigdy nie dościgniemy”. Jak widać myślenie religijne proponuje rozwiązania zagadki pierwszej przyczyny powołując pojęcie Boga, stwarzając świat i kontrolując we wszystkim jego funkcjonowanie łącznie z jego myśleniem i aktywnością emocjonalną. Wiara i nadzieja nie są kategoriami intelektualnymi, uzależnione są także od istnienia łaski. Obok tego istnieje inna droga rozwiązywania tej zagadki. „Mamy tylko jeden środek, dzięki któremu możemy posuwać się w rozwiązywaniu tej zagadki: naszą myśl. I tylko jedno narzędzie: naukę”. Stosunek autora do nauki jest ambiwalentny. Znaleźć można w tekście wypowiedź: „Nie sądzę, by myśl ludzka była kiedykolwiek w stanie rozwikłać tę zagadkę... „Wierzę głęboko, że nauka zbliża się do prawdy, ale nigdy jej nie odkryje”. Równocześnie głosi, że nauka idzie naprzód: to jej zadanie i chwała jej za to. Nie jest wykluczone, że spowoduje „przekroczenie muru Plancka”. Niemożliwe jest tylko to, żeby dostarczyła nam klucze do rozwiązania zagadki. W miarę postępu jednak zasięg nauki się rozszerza. Każdy rozwiązany problem generuje wciąż rosnącą liczbę pytań...to, czego nie wiemy, zamiast się kurczyć ma raczej tendencję do rośnięcia niby balon, który wciąż jest pompowany”.

* * *

Autor zdecydowanie jest przeciwny teoriom i koncepcjom jednostronnie opisującym rzeczywistość, a zarazem ma świadomość potrzeby głoszenia treści ambiwalentnych.

„Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?

Ponieważ jest byt, który zwycięża nad nicością.

Byt jest. To wystarczy.

I jest wolność wyboru słowa: możemy nazwać go Bogiem”.

Urzekający jest styl przekazywania w sposób zrozumiały dla przeciętnych czytelników problemów rozważanych na szczytach myśli naukowej i filozoficznej.

Warto wziąć do ręki *Traktat o szczęściu*. Wraz z pięknym słowem lektura daje dużo do myślenia.

Jean D'ORMESSON, *Traktat o szczęściu*, Znak, 2011.

Wojciech DOMOSŁAWSKI

Jeszcze raz o Krasnogrudzie

Nazwa Krasnogruda przebija się do świadomości coraz szerszego kręgu ludzi w Polsce, nie obca staje się także na Litwie. Ma szansę zająć trwałe miejsce w kulturze polskiej. A wszystko to dzieje się za sprawą sejneńskiego Ośrodka „Pogranicze”, który czyni poważny wysiłek w propagowaniu twórczości Czesława Miłosza. Twórczości tak ważnej dla głębszego zrozumienia naszego polskiego charakteru – naszej tożsamości, jak również wspólnotowego spłotu Polaków i Litwinów zawierającego wiele niełatwych historycznych momentów. Twórczość Czesława Miłosza również pomaga także rozpoznawać zachowania ludzkie, w których stopień racjonalności i emocjonalności waży na procesach wyznaczających jakość życia zbiorowego, przez co staje się ona ważna nie tylko dla Polaków i Litwinów.

Na Podlasiu we wsi Krasnogruda tuż przy granicy z Litwą znajduje się dwór ziemiańskiej rodziny Kunatów, z którym poprzez matkę łączy Czesława Miłosza związki rodzinne. O związkach Miłosza z dworem krasnogrudzkim pisałem w „Res Humanie” nr 5/2011. O tym również pisze Zbigniew Fałtynowicz w książce „Dla Miłosza – Suwałki, Krasnogruda” z dużą ilością zdjęć dokumentujących związek Miłosza z Suwalszczyzną o której po latach powie „...miejsce bardzo wielu sprzecznych przeżyć”.

Rok 2011 to dla dworu krasnogrudzkiego nowa data. Otóż, dziesięcioletnim wysiłkiem Ośrodka „Pogranicze” dwór i teren wokół dworu w swym kształcie przyjął nowy wszechstronnie przemyślany kształt, wkomponowany w istniejący układ przyrodniczy z zachowaniem dawniej istniejącej fasady i geometrii alei parkowych. Reszta to nowoczesna infrastruktura nowej placówki, która przyjęła nazwę „Międzynarodowe Centrum Dialogu”.

Otwarcie miało miejsce w dniach 30.06–02.07.2011 i odbyło się nadzwyczaj uroczyste. Łączyło pierwszy dzień polskiej prezydencji w UE oraz obchody Roku Miłosza ogłoszonego z okazji setnej rocznicy urodzin Poety, przypadającej na dzień 30 czerwca.

Towarzyszyły tej uroczystości takie wydarzenia, jak otwarcie wystawy „Szukanie Ojczyzny: świadectwa i proektwa Czesława Miłosza”, panele dyskusyjne: „Agora Filozofów”, „Agora Poetów”, „Agora Artystów”, prawykonywanie w Bazylice Sejneńskiej oratorium „Powrót”, dla którego inspiracją był wiersz Cz. Miłosza „Powrót”, wieczór poezji „Cafe Europa” oraz cykl seminariów pod nazwą „Wizje Rodzinnej Europy”. Ranga uroczystości została podkreślona obecnością Prezydenta Rzeczypospolitej Bronisława Komorowskiego.

Wśród licznego grona uczestników warto odnotować obecność syna Poety Anthona Miłosza, prof. Zygmunta Baumana, a także przybyłego z USA Aleksandra Schenkera, człowieka bliskiego Cz. Miłoszowi, który wspomagał w promocji jego twórczość na trudnym rynku wydawniczym w USA. Znaczenie tego wydarzenia może pretendować do drugiego co do wielkości, po Miłoszowym Festiwalu w Krakowie z okazji obchodzonego Roku Miłosza.

W licznych wystąpieniach dyrektora nowego Centrum Krzysztofa Czyżewskiego, można było usłyszeć zapowiedź, że będzie to „Nowa Agora”. Zadanie ambitne i potrzebne w polskiej rzeczywistości, zwłaszcza dziś, kiedy można mówić o kryzysie kultury, która traci zdolność przekazywania swych wartości poprzez debatę publiczną, co skutkuje zanikiem samoregulacji obywatelskiej w naprawie niepożądanych procesów w życiu zbiorowym.

Ale uroczystości mijają, pozostaje pytanie, jakie przesłanie wniosły one dla wzbogacenia naszej świadomości i poczucia wspólnotowości, co było tak ważne dla Miłosza, ponieważ wiedział, że są one ważnym czynnikiem w wyzwaniu sił twórczych i odnajdywaniu poczucia bezpieczeństwa przez jednostkę.

Dawny ziemiański dwór krasnoogródzki przekształca się więc w nową placówkę, która ma być „Nową Agorą” na którą już na starcie wprowadzono jako głównego uczestnika, twórczość i osobę Czesława Miłosza. Jest to połączenie niełatwe, w którym ukryte są emocjonalnie rozdarci i tym samym nie poukładane cechy polskiej tożsamości, które współcześnie są rozmywane w mechanizmie „płynnego życia”, o którym mówi Zygmunt Bauman.

Miłosz jest poszukujący i wyrazisty. W *Rodzinnej Europie* stwierdza „...byłem wolny i tylko niekiedy podczas wakacji u Dziadków Kunatów inność wiejskich chłopców budziła we mnie niepokojące myśli nierówności. Jednakże byłem niezależnie od mojej woli, już zaklasyfikowany”. Natomiast w *Szukaniu Ojczyzny* napisze: „Ziemiaństwo na Litwie – było takie jak za belfrowania Mickiewicza w Kownie, w tych samych majątkach siedzieli potomkowie jego współczesnych, no i Kowno było takie samo, małe miasto dla zjazdów szlachty kontynuującej tradycje sejmików. Ale ziemiaństwo to, pamiętając o swoim wkładzie w walkę wyzwolenczą, o swoich, którzy szli do kolejnych powstań, płacąc nieraz cenę najwyższą, zesłaniem, konfiskatą majątków, było niezbyt różne w moich latach szkolnych, prawie wszyscy w mojej klasie z niego wywodzili się, wszyscy byli jakoś spokrewnieni..... .Puszczałem mimo uszu te różne stopnie pokrewieństwa. Właśnie o to chodzi, że nie chciałem do mojej kasty należeć, że unikałem przyznania się: jestem szlachcicem”.

W innym miejscu czytamy „Jednak skaza wyłączająca z własnej kasty nie jest czymś, z czego należy być dumnym. Przyjmuję ją dzisiaj spokojnie, choć wolałbym, żeby jej nie było”.

Ten wewnętrzny niepokój stał się siłą do poszukiwań odmiennej tożsamości, różnej od wywodzącej się z tradycji ziemiaństwa, tożsamości, w której krytyczny osąd przeszłości zdobywa przewagę nad samozadowoleniem, jakie niosło w sobie życie polskiego dworu.

W *Rodzinnej Europie* Miłosz opisuje swą przedwojenną podróż na Zachód, która przyczynia się do następującego wyznania „.....mieszkała we mnie domena kartoflanych twarzy, od Berlina na wschód, bezradnych podejrzliwych drapań w głowę, paluchów próbujących dać sobie radę z formularzami. Sto, dwieście lat, wszystko się zmienia, tylko dysproporcja dwóch Europ pozostaje taka sama”.

W wyznaniu tym jest niewiara w naszą zdolność do zmiany rzeczywistości. W ówczesnej rzeczywistości, sił dla tych zmian należałoby szukać w licznej ziemiańskiej społeczności jako elity okresu międzywojennego. Społeczności, której materialną podstawę wyznaczał dwór, co pozwalało na niezależność intelektualną i aktywną postawę wobec spraw publicznych.

Rozpoznając dorobek Miłosza jako myśliciela, uświadamiamy sobie, że czyni on dekonstrukcję tożsamości klasy ziemiańskiej, która wyznaczała wówczas zasady i wartości tożsamości narodowej, w której również znalazł się, jak powiada, z racji swego urodzenia. Dostrzegaliśmy, że ta tożsamość na poziomie ogólnopaństwowym była często opresyjna, niszczyła odmienną jednostki, naznaczała wrogów i obcych, przejawiała agresywność, pogardę i pychę wobec niższych klas społecznych i narodów będących sąsiadami Polski, co bardzo boleśnie odczuła Litwa.

Znając polityczne realia Polski przedwrześniowej, Miłosz w czasie okupacji w Warszawie toczył spór o wizję Polski powojennej z nurtami prawicowymi, często o silnym charakterze endeckim. Ten spór ujawnił się z całą ostrością w Goszycach, w majątku rodziny Turowiczów, gdzie po Powstaniu Warszawskim znalazła schronienie liczna grupa inteligencji. Między innymi spór dotyczył sensu Powstania, Miłosz widział jego bezsensowność, co spotkało się ostro wyrażanym odmiennym stanowiskiem, głównie reprezentowanym przez Jana Józefa Szczepańskiego

Ta dekonstrukcja tożsamości narodowej kontynuowana przez Miłosza także po zmianie ustroju w latach dziewięćdziesiątych, przejawia się jako jego spór z takim wzorcem polskości, który budowany jest współcześnie w oparciu o historię i wartości dwudziestolecia międzywojennego.

Ten spór ma charakter ideowy, uświadamiający jak postawa tożsamościowa była ważnym wektorem dla politycznych wyborów w samym procesie transformacji ustrojowej i dalej jest ważna po dzień dzisiejszy. Dlatego Poeta uznał za celowe wydanie *Wyprawy w dwudziestolecie*, pokazując krytyczną narrację o tamtym okresie, dla wielu bardzo kłopotliwą, a często nie do przyjęcia i o tej sytuacji tak mówił „nie wątpię, że zapoznanie się z tamtą Polską będzie dla wielu czytelników trudnym przeżyciem, być może wstrząsem i że będą zapytywali, jak to możliwe? Ale było to możliwe, jak wskazują zebrane przeze mnie materiały, prawie wszystkie drukowane były przed rokiem 1939”.

Dwór krasnogrudzki był jednym z wielu dworów ziemiańskich na pograniczu polsko-litewskim utrwalającym polską tożsamość, która między innymi wypełniona była romantycznym mesjanizmem, etosem ofiary wywodzącym się z zaborów i tradycji powstań, utrwałała poczucie wspólnego losu ziemiaństwa.

Dwór krasnogrudzki jako macecznik polskości otoczony wsiami litewskimi przestał istnieć po 1939 roku wraz z nadejściem okupacji niemieckiej i tragicznym losem jego mieszkańców. Jego znaczenie gospodarcze, kulturowe, społeczne wraz z pielęgnowanymi wzorcami mentalnymi przerwane zostało w 1939 roku. Natomiast po roku 1945 przemiany ustrojowe niosące głębokie zmiany społeczne nie pozwoliły już na odnowienie dawnej tradycji i jego pozycji społeczno-kulturowej.

Dwór krasnogrudzki za sprawą sejneńskiego „Pogranicza” powraca do przestrzeni publicznej. Powstaje pytanie, czy nowi gospodarze w tej materialnie odrestaurowanej, jak również przebudowanej siedzibie ziemiańskiej będą tylko odnawiać tradycję i tożsamość, jaka ma tam swoje korzenie, czy też przy uszanowaniu przeszłości, podążą drogę poszukiwań tożsamości, która jednostce tworzyłaby nakaz własnego rozwoju, a w zbiorowości pogłębiałaby naszą wspólnotowość. Tak jak tego dokonał Miłosz, gdy w 1936 roku opuścił Wilno i Krasnogrudę w poszukiwaniu innego zakorzenienia i odmiennych wartości.

Te dwa wektory, jak pokazują życiowe wybory Miłosza, są przeciwstawne i nie do pogodzenia, dlatego zapowiedziana „Nowa Agora” w Krasnogrudzie musi zmierzyć się z tym problemem. Jak współcześnie jest to trudny problem świadczą ustawione nowe drogowskazy, wskazujące drogę do Dworu w Krasnogrudzie. Napis na nich „Dwór Miłosza w Krasnogrudzie” sugerują, że był on właścicielem ziemskim, przynależącym ze wszystkimi konsekwencjami materialnymi i mentalnymi do sfery ziemiańskiej. Co jest prawdą i nieprawdą, ale bardziej nieprawdą, a w sensie wyznawanej tożsamości jest całkowitą nieprawdą.

Warto podkreślić, że współcześnie w wypracowanej narracji historycznej obowiązuje absolutyzowanie konspiracji niepodległościowej. Jest to odbudowa państwowości w 1918 roku, rola marszałka J. Piłsudskiego w dwudziestolecu międzywojennym, II wojna światowa to AK i Powstanie Warszawskie, po 1945 roku wojna domowa, konspiracja „Solidarnościowa”. Taka narracja jest duchowo bliska ludziom, dla których bliska jest tradycja polskiego dworu i dwudziestolecia międzywojennego. Właśnie do tej tradycji nawiązał prezydent Bronisław Komorowski w swym wystąpieniu w czasie uroczystości otwierających „Międzynarodowe Centrum Dialogu” w Krasnogrudzie. **Natomiast brak jest refleksji historycznej dotyczącej zagadnień**

społecznych, gospodarczych, kultury materialnej, kultury kreującej wartości duchowe i estetyczne, całościowego dorobku cywilizacyjnego. A właśnie w wzmaganiu się z powyższymi zagadnieniami Miłosz dostrzegał powstawanie nowej tożsamości wspólnotowej, widział jej zakorzenienie w polsko-litewskiej tradycji tolerancyjnego życia, jakie poznał w Szetejniach, w miejscu swego dzieciństwa o czym mówi w wierszu „Mój dziadek Zygmunt Kunat”.

Faktem jest, że po 75 latach za sprawą sejneńskiego „Pogranicza” Miłosz ponownie jest w Krasnogrudzie. Jednak kim tam będzie, nie wiemy, ale na pewno nie może być tam „skonsumowany jako wyznacznik popularności”, czego się za życia obawiał, pisząc o tym do J. Giedroycia. Dlatego, czy w „Krasnogrudzie” będzie „Nowa Agora”, można i trzeba wyrażać wątpliwości, bo poprzez wyrażanie wątpliwości wiedzie droga do zrozumienia konieczności nowego myślenia o nas samych, czyli takiego, jakiego dokonał Miłosz o klasie społecznej, do której był przypisany z racji swego urodzenia.

Miłosz po przyjeździe na Suwalszczyznę po półwiekowej nieobecności powiedział „Suwalszczyzna – miejsce bardzo wielu sprzecznych przeżyć”, dziś po tym, co się stało w Krasnogrudzie, trzeba powiedzieć „Krasnogruda – miejsce trudnego wyboru”.

Korzystałem z referatu prof. Teresy Walas „Miłosz jako figura tożsamości problematycznej” wygłoszonego w Krakowie na konferencji „Miłosz i Miłosz” zorganizowanej w ramach „Festiwalu Czesława Miłosza”, maj 2011.

Jan DĘBOWSKI Dokończenie ze s. 10

Wartość przyjaźni

oni odgrywać rolę nie tyle komentatorów bieżących spraw, co mędrców rozprawiających o *conditio humana*, odwołując się przy tym do tekstów Platona, Arystotelesa czy Kanta, zamiast pociesznie interpretować pokretnę słowa polityków i celebrytów. Należałoby przywrócić humanistyce należne jej miejsce w edukacji szkolnej i w życiu publicznym. Zadaniem humanistyki jest bowiem kształcenie jednostki samodzielnie myślącej, świadomej, umierającej artykułować swe myśli i wrażliwej na wszelkie sytuacje poniżania godności człowieka i wrogości między ludźmi. Innymi słowy, chodzi o to, by humaniści wzięli na siebie powinność humanizowania świata, a zatem czynienia go środowiskiem przyjaznym dla zamieszkujących go istot.

Przypisy

¹ *Mały słownik etyczny*, red. St. Jedynak, Bydgoszcz 1994.

² Tamże, s. 189.

³ Por. tamże, s. 26.

⁴ Tamże, s. 256.

⁵ Tamże, s. 159-160.

⁶ Tamże, s. 126.

⁷ Tamże, s. 244.

⁸ Tamże.

⁹ Por. W świecie narastających lękomysli. Z prof. Jackiem Hołówką rozmawia Wiesław Łuko, „Res Humana” 2012, nr 4, s. 11.

¹⁰ Wyd. Meandry, przekład Anna Tanalska-Duleba, Kraków 2012.

¹¹ Tamże, s. 166.

¹² Fanatyzm definiuje się w węższym sensie jako opętanie jakąś „idea”, jakimś wyobrażeniem czy przekonaniem o absolutnej słuszności własnej racji; jest to więc irracjonalna postawa nie tolerująca poglądów różnych od własnych, „swoisty omam, który chce się wmówić, a także siłą wtłoczyć do głów innym ludziom czy całym grupom; opętanie nasiąknięte poczuciem misji i niedostępne dla jakichkolwiek argumentów, pozbawione zdolności do refleksji; absolutna pewność siebie nie dopuszczająca możliwości zmiany”. Por. J. Bartosz, O fanatyzmie, „Res Humana” 2012, nr 3, s. 18.

¹³ Tamże.

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Cz. Miłosz, *Zniewolony umysł*, wyd. „Kultura” (paryska) 1952. Cyt. za: Uri Huppert, Tolerancja i jej wrogowie, „Res Humana” 2012, nr 2, s. 14.

¹⁶ J. S. Mill, *O wolności*, Warszawa 1959, s. 134.

¹⁷ Tamże. Por. także: J. Szacki, J. St. Mill, *Wolność i indywidualność*, w: *Antynomie wolności*, Warszawa 1966, s. 314.

¹⁸ Por. M. Szyszkowska, *Wokół człowieka*, „Res Humana” 2012, nr 3, s. 36.

Zbigniew WIKTOR

Za chińskim murem (Po zjeździe partii rządzącej)

1

W listopadzie (8–15) 2012 r. w Pekinie obradował XVIII Kongres Komunistycznej Partii Chin. Jego znaczenie polegało na tym, że wytyczył on perspektywę rozwoju kraju na najbliższe lata oraz przyjął wiele innych bardziej szczegółowych programów w dziedzinie gospodarczej, społecznej, politycznej, ekologicznej i w polityce międzynarodowej. Zjazd wybrał też nowe centralne kierownictwo KPCh i władz państwowych na czele z nowym Sekretarzem Generalnym Xi Jinpingiem i kandydatem na premiera rządu Chin (obecnym 1. wicepremierem) Li Keqiangiem, który w marcu 2013 r. na sesji Chińskiego Kongresu Przedstawicieli Ludowych (parlamentu) ma zastąpić obecnego premiera Wen Jiabao.

Chińczycy opanowali do perfekcji mechanizm bezkolizyjnej wymiany kadr politycznych. Nie oznacza to, że nie ma rywalizacji, sprzeczności i walki politycznej między różnymi skrzydłami, frakcjami i kandydatami na najwyższe stanowiska, o czym świadczy afera z Bo Xilaiem¹.

Zjazd partii był okazją do podsumowania dotychczasowego rozwoju Chin, w szczególności ostatniego 10. lecia².

Biorąc pod uwagę zakres, tempo i charakter zmian przede wszystkim polityczno-gospodarczych dotychczasowy ponad 60-letni okres rozwoju ChRL można podzielić na dwa podokresy: okres rządów Mao Tsetunga (lata 1949–1976) oraz okres rządów Deng Xiaopinga i jego następców, fak-

tycznie od 1978 r., kiedy na III. Plenum KC KPCh wykształciła się klarowna koncepcja „socjalistycznej gospodarki rynkowej”, która zmieniła taktykę budownictwa socjalistycznego przy szerokim wykorzystaniu mechanizmów rynkowych i przy zezwoleniu na oficjalną działalność inicjatywy prywatnej i zaproszeniu kapitału zagranicznego. Chiny otworzyły się szeroko na świat, zaofiarowały niezwykle tanią siłę roboczą i wręcz nieograniczony rynek, co uruchomiło potężny napływ kapitału, który ulokował biliony dolarów w różnych gałęziach produkcji i usług, ciągnąc z tego olbrzymie zyski, ale jednocześnie przyczyniając się do modernizacji kraju. W ten sposób Chiny osiągnęły szeroki dostęp do nowoczesnych technologii i wykorzystwały możliwości unowocześnienia gospodarki. Rocznie przybywało do 10 mln nowych miejsc pracy, a drugie tyle było modernizowanych. Jednocześnie KPCh nie zrezygnowała z celów strategicznych, z dążenia do budowy socjalizmu, a w dalszej perspektywie komunizmu.

Państwo zachowało kontrolę nad strategicznymi działami gospodarki, np. energetyką, transportem, bogactwami naturalnymi i zasobami wodnymi, bankami. Ziemia należy do państwa a życie polityczne i duchowe społeczeństwa jest zdominowane przez hegemoniczną pozycję i wiodącą rolę KPCh, której rola nieustannie się zmienia. Deng Xiaoping wyszedł z założenia, że Chiny w czasach Mao Tsetunga wprowadziły egalitarny system socjalizmu przy bardzo niskim rozwoju a nawet zacofaniu gospodarki. W tej

sytuacji Chiny musiały się uczyć się od wyżej rozwiniętych państw i w ten sposób za cenę olbrzymich wyrzeczeń całego narodu rozwijać się szybciej i zmniejszać dystans między Państwem Środka a krajami rozwiniętymi. Zakładano także odrodzenie do pewnego stopnia burżuazji narodowej i drobnomieszczaństwa, nie dopuszczając jednak do ich politycznego organizowania się jako partii opozycyjnych.

Chińska droga rozwinęła się w bardziej dogodnych warunkach wewnętrznych i zewnętrznych. KPCh po śmierci Mao Tsetunga i przezwyciężeniu skutków „rewolucji kulturalnej” skonsolidowała się pod kierunkiem Den Xiaopiga i osiągnęła liczne sukcesy zagraniczne w rezultacie polityki otwarcia na zewnątrz. W ciągu ostatnich więcej niż 30 lat wielokrotnie wzrósł dochód narodowy, a średnioroczny przyrost PKB był ponad 10%. Szczególnie wysoki był wzrost gospodarczy w latach 2002–2012. W 2002 r. PKB wynosił 1237 a w 2011 r. 7301 mld dol. Wstępne dane za 2012 r. mówią o około 8% wzroście, a więc wielkość chińskiego PKB wynosi ok. 8 bln dol. Tę wielkość należy jednak przemnożyć przez 1,7 ze względu na niedoszacowanie juana i jego znacznie wyższą siłę nabywczą, co potwierdzają oficjalne dane MFW. Oznacza to że w 2011 r. rzeczywista wartość PKB wynosiła 12,41 a w 2012 r. ok. 13,41 bln dol. Chiny więc depczą po piętach Stanom Zjednoczonym i jest to problem globalny, lecz inna jest struktura obu ekonomik, inne są także cele społeczne Chin i USA, inne są wielkości PKB per capita ze względu na ponad 4,5 razy większą ludność Chin (minimalna płaca w 2012 r. to 1500 juanów).

2

W 2011 r. Chiny jako „tania fabryka świata” miały 3.842 mld dol. obrotów w handlu zagranicznym. Przemysł wytwarzał 3.501 mld PKB, usługi 3.226 mld, rolnictwo 757 mld dol. Rezerwy walut wymiennalnych wynosiły 3.181 mld a w 2012 zwiększyły się do 3.600 mld dol. Dane te dokumentują zasadnicze zmiany w chińskiej gospodarce, jednocześnie anonsują istniejące opóźnienia, np. w rolnictwie, gdzie ok. 1/3 siły roboczej pracuje w tym dziale, ale daje ono ok. 10% PKB.

Chiny są wielkim placem budowy, produkują największe ilości cementu, stali, na każdym kroku widać nowe obiekty przemysłowe, wielkie osiedla w miastach i postępek na wsi. Zmodernizowany został układ komunikacyjny. W 2002 r. było 1.765 mln km dróg, w 2011 r. 4.106 mln km, w tym autostrady: w 2002 r. 25.100 km, w 2011 r. 93.000 km. Samochody prywatne: w 2002 r. 9.86 mln, w 2011 r. 78.72 mln.³

Z danych tych wynika, że Chiny dzięki rozwojowi swej gospodarki osiągnęły (szczególnie w ostatnich 10-ciu latach) olbrzymi rozwój i sytuują się w grupie państw najszybciej rozwijających się. Stanowią one zachęcający model rozwojowy przede wszystkim dla państw – Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej, o czym świadczy rola Chin w strefie ASEAN, wpływ na Nepal, państwa Indochin, a także Indie, Indonezję, Malezję. Chiny przejawiają dużą inicjatywę gospodarczą, w państwach dawnego ZSRR, głównie w Azji Centralnej, także za sprawą Szanghajskiej Organizacji Współpracy. Pogłębia się współpraca gospodarcza z państwami Afryki i Ameryki Południowej, przy czym nie chodzi tylko o surowce energetyczne: firmy chińskie masowo eksportują także w rolnictwo, drogownictwo, rozbudowę przemysłu. Część polityków europejskich upatruje w Chinach skuteczne remedium na kryzys finansowy-gospodarczy Unii Europejskiej. Chodzi o większy napływ chińskiego kapitału nawet do 1 bln euro, który mógłby być początkiem nowej współpracy między Chinami, Rosją a Unią.

3

Nie oznacza to, że Chiny mają już wszystkie atuty. Jeśli podzielić dochód narodowy na jednego obywatela, widać, że Chiny czeka dalsza i żmudna droga. Oznacza to, że przeciętny dochód w USA czy w wysoko rozwiniętych państwach Unii jest 4–5-krotnie większy niż w Chinach. Przede wszystkim Chiny muszą przebudować rolnictwo, gdzie mimo wielkich sukcesów w produkcji zbóż i mięsa, wieś jest w dalszym ciągu zacofana, bo np. wydajność pracy amerykańskiego farmera jest kilkadziesiąt razy większa niż rolnika chińskiego. Jest to także problem urbanizacji i jej charakteru. W dalszym ciągu kołem zamachowym chińskiej gospodarki jest tania wiejska siła robocza (ok. 250 mln

robotników sezonowych). Pozostaje problem wyrównania poziomu życia w mieście i na wsi, problem administracyjnej reglamentacji urodzin dzieci, rozwoju zaniedbanych prowincji zachodnich, zamieszkanymi głównie przez mniejszości narodowe, wykorzystania energii solarnej itd.

Są to kwestie wymagające gigantycznych środków i czasu na miarę pokolenia. O problemach tych dyskutowano podczas wspomnianego Kongresu KPCh. Yan Wenjing był jednym z najmłodszych 26 delegatów reprezentujących 250 mln rzeszę robotników migrantów. Powiedział m.in.: „Nie chcemy być żadnymi migrantami, chcemy być nowoczesną generacją robotników przemysłowych” (China Daily, Nov. 21, 2012, s. 8). Trzeba znieść system „hukou”, dyskryminujący płacowo, socjalnie i mieszkaniowo robotników ze wsi. Zdaniem dyskutanta, nowe pokolenie robotników-migrantów potrzebuje zrównania warunków życia w mieście i na wsi, co będzie z korzyścią dla nich, ich rodzin i całego społeczeństwa.

W Chinach rozwierają się nożyce między najbogatszym i najbiedniejszym decylem. Współczynnik Gini’ego wynosi około 0,50, co jest alarmujące dla władz. KPCh broni interesów chińskiej klasy robotniczej, ale czy wystarczająco skutecznie? Jako partia rządząca musi mieć na uwadze interesy innych klas i warstw, całego narodu, w tym także interesy odrodzonej narodowej burżuazji.

Obecnie ponad 2/3 PKB wytwarzane jest w sektorze prywatnym kapitału chińskiego i zagranicznego. Odtworzona została wielka burżuazja (i liczne drobnomieszczactwo w mieście i na wsi), która w obecnych warunkach polityczno-ustrojowych nie ma możliwości politycznego zdyskontowania swej przewagi ekonomicznej, ale zapewne ma wielki nieoficjalny wpływ na politykę KPCh i chińskiego państwa. Biznes aktywizuje korupcję i za pomocą różnych instrumentów ekonomicznych i społecznych dąży do przekształcenia obecnego państwowego kapitalizmu w „normalny kapitalizm”. Wszystko to ma istotny wpływ na zaostrenie się w Chinach sprzeczności społecznych, które nie przybierają jednak formy otwartych wystąpień o charakterze walki o władzę; nosi ona cechy walki o poprawę praw pracowniczych, przy czym jest ona także podsykana z zewnątrz.

Rozwój w Chinach przebiega także w złożonej sytuacji międzynarodowej. Jej cechą szczególną jest rosnące znaczenie Chin jako mocarstwa światowego, jako nowego bieguna nie tylko gospodarczego. Chiny nie zrezygnowały ze swoich strategicznych celów. Zmieniły taktykę dochodzenia do nich, uruchomiły gospodarkę rynkową, będącą pewnym novum nie tylko w praktyce, także w teorii współczesnej gospodarki. Przede wszystkim mają inny stosunek do czynnika czasu, co wynika z kontynuacji ich cywilizacji. Okres przejściowy od kapitalizmu do socjalizmu ma w Chinach trwać nawet 100 lat (do 2049 r.). W związku z tym należy z większą uwagą podejść do ich koncepcji i planów rozwojowych, adaptacji wskazań ideologicznych do warunków chińskich. Uczeń europejski i amerykański mają okazję zastanowić się nad wieloma paradygmatami. Europocentryzm w polityce już dawno minął, w nauce jednak ciągnie się nadal, tymczasem praktyka rozwoju Chin, Indii i innych regionów świata wymaga innego spojrzenia.

*

Kongres partii potwierdził, że Chiny idą własną drogą, nie muszą i nie chcą ścigać się z naśladowaniem Zachodu. ChRL wyciągnęła wnioski z upadku ZSRR. Polityka KPCh daje szansę narodowi Chin na systematyczną poprawę życia we wszystkich sferach społecznych, ustanowienia harmonijnego społeczeństwa obecnie na poziomie średniozamożnym, a w perspektywie bardziej dojrzałego i rozwiniętego.

Polityka ta cieszy się poparciem zdecydowanej większości narodu chińskiego, gdyż wszyscy Chińczycy są beneficjentami (choć w nierównym stopniu) obecnej transformacji gospodarczej i rozwoju.

Podstawowa literatura

Zb. Wiktor, M. Rakowski, *Rozwój i prognozy przyszłości Chin w zmieniającym się świecie*. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2012 r.

Wong Hairong, *The Hoopes of the People. 18th CPC Congress Report*. „Beijing Review”, Nov. 8, 2012, Nr 45, s. 10–11.

Li Li, *More diverse Representation*. „Beijing Review”, Nov. 8, 2012, Nr 45, s. 12–15.

Zan Jifong, *Going Forward with Vigor*. 18th CPC Congress. „Beijing Review” Nov. 15, 2012, Nr 16, s. 4–7.

Przypisy

¹ Byłem członkiem Biura Politycznego, sekretarzem wpływowej organizacji partyjnej w Chongqingu, pełniącym kiedyś także ważne funkcje państwowe, m.in. ministra Handlu, który wraz z licznymi innymi wysokimi funkcjonariuszami oskarżony został o korupcję, wydalony z partii i pozbawiony wszelkich stanowisk, co lege artis zatwierdziły wszystkie instancje partyjne i dopełniły odpowiednie organy państwowe. Bo Xilai był postrzegany przez zagranicznych obserwatorów jako przywódca „frakcji maoistowskiej”, która krytycznie oceniała politykę obecnego kierownictwa, pogłębiając się rozwarstwienie społeczne, alienację władzy, biurokracizm, odchodzenie od zasad skromności i służenia ludowi. Bo Xilai stracił polityczną twarz, ale problemy pozostały i obecne kierownictwo walkę z tymi dewiacjami uznało za priorytet własnej polityki.

² Kiedy sekretarzem generalnym KC KPCh był Hu Jitao a premierem rządu Wen Jiabao. Była to

czwarta generacja chińskich przywódców komunistycznych, która w 2002 r. zastąpiła wcześniejszą ekipę Jiang Zemina, a ta jeszcze wcześniej Deng Xiaopinga, który objął kierownictwo polityczne po śmierci w 1976 r. Mao Tsetunga. Obecnie na arenę polityczną Chin weszła nowa 5-ta generacja liderów na czele z Xi Jinpingiem, która, jak można się spodziewać, będzie rządzić Chinami do 2022 r.

³ W 2012 r. Chińczycy produkowali ponad 20 mln aut osobowych, wyprzedzając USA. Nie zaniedbuje się kolei. W 2002 r. było 71.900 km, w 2011 r. 93.000 km, w tym koleje superszybkie 10 tys. km. Cały kraj pokryty jest siecią połączeń lotniczych, stając się konkurencyjnym środkiem transportu, szczególnie w rejonach niedoinwestowanych pod względem drogowym i kolejowym. Dostęp do Internetu: w 2011 r. – 513 mln. Liczba studentów – ok. 25 mln, co drugi maturzysta dostaje się na studia wyższe, szkolnictwo na poziomie 9-letniego gimnazjum – 100%, szkolnictwo średnie w granicach 80% młodzieży, w Chinach jest tu 450 tys. doktorantów, z zagranicy studiuje ok. 300 tys. studentów, chińskich studentów za granicą jest ponad 250 tys.

Autor artykułu jest profesorem nauk politycznych; przez wiele lat wykładał na Uniwersytecie Wrocławskim; przedmiotem zainteresowań badawczych autora są państwa Dalekiego Wschodu, zwłaszcza Chiny.

Daniel S. Zbytek

Amerykańskie przemiany społeczne

20 stycznia 2013 roku Barak Hussain Obama złożył przysięgę prezydencką kładąc prawą dłoń na Biblii swojej teściowej. Dzień później powtórzył tę przysięgę wobec setek tysięcy zgromadzonych wokół amerykańskiego Kapitolu, siedziby obu izb parlamentu, tym razem kładąc dłoń na dwóch Bibliach: jednej, należąca kiedyś do prezydenta Abrahama Lincolna i drugiej, będącej własnością zamordowanego przywódcy czarnych obywateli USA, Martina Luthera Kinga. Symbolicznie połączył w ten sposób dwie amerykańskie tradycje: białą i czarną. Wbrew oficjalnej wersji historii Stanów Zjednoczonych, historiografia obu społeczności jest odmienna: przodkowie jednych przyjechali z Europy dobrowolnie, szukając szansy ekonomicznej lub wolności dla swojej religii, przodków drugich przywieziono, jako niewolników w ładowniach statków. Czarni, bo takiego używają dziś samookreślenia (Murzyni, czyli angielskie „Nigger” zostało zdyskredytowane, a oficjalne określenie: „Afroamerykanie” niezbyt się przyjęło) stali się realnie równouprawnioną grupą ludności dopiero w ostatnich latach, dzięki wytrwałej walce, a symbolem ich zmagania stał się pastor Luther King.

Przysięganie na Biblię to tradycyjna procedura, podkreślająca niemal osobiste związki prezydenta i obywateli Stanów Zjednoczonych z Bogiem. W tym kontekście ciekawie zabrzmiało drugie imię Prezydenta, wypowiedziane przez Obamę w pełnym brzmieniu swego nazwiska i imion: Barak Hussain Obama, a inaczej w ustach prezesa Sądu Najwyższego: Barak H. Obama. Nie jest to tylko mało istotny skrót, Hussain to imię arabskie, ale Prezydent USA nie wypowiadał je tylko ku zadowoleniu wyznawców islamu na całym świecie : tego typu gesty mają ograniczoną wartość geopolityczną, istotny jest ich kontekst amerykański, ważny dla wyborców, którzy na Obamę głosowali.

Niewątpliwie w uszach wielu Amerykanów musiało źle zabrzmieć drugie imię Prezydenta: Hussain. Większość kojarzy pewnie to imię bardziej z Saddamem Husseinem, krwawym dyktatorem Iraku. W tradycji wyznawców islamu z kolei, Hussain to dla muzułmanów na całym świecie imię wnuka Mahometa, a dla szyickiego ich odłamu, imię prawowitego następcy Proroka, zamordowanego przez odstępców od boskiej woli Proroka, zwanych sunnitami. Muzułmanów w USA jest niewiele, nie stanowią oni liczącej się grupy wyborców, natomiast to podkreślanie swojej odrębności, służy Obamie, poza samym faktem, że jest ciemnoskóry, w zjednaniu sobie tych grup wyborczych, których znaczenie coraz szybciej wzrasta: ciemnoskórych, Latynosów i Azjatów. Nie ze względu na ich proislamskie sympatie, ale to, że stoją oni w opozycji wobec tej grupy ludności, która od zarania amerykańskiej państwowości stanowiła fundament wyborczy: białych. Wyniki wyborcze są jednoznaczne :tylko 39% białej ludności głosowało na Obamę wobec 59% głosów oddanych na białego, multimilionera Rodney'a. Ciemnoskórzy w 93% oddali głosy na Obamę, także 71% Latynosów wołało Obamę. Ciemnoskórzy stanowią dziś około 12% ludności, Latynosi około 17%, i jest faktem, że w znacznie większym stopniu niż biali uczestniczyli w wyborach. Białemu kandydatowi zaszkodziło zarówno jego pogarda dla bezrobotnych, niezależnie od koloru skóry, a także jego mormońskie wyznanie, uważane przez innych chrześcijan za fałszywe (podobnie jak np. w Polsce stosunek do wyznawców Świadków Jehowy).

Obama to także prezydent kobiet (głosowało na niego 55%, a mężczyzn tylko 45%), ludzi z wyższym wykształceniem (51%), Żydów (69%), katolików (50%) oraz homoseksualistów (76%). Na Obamę głosowali młodzi: 60% w wieku 18–29 lat i 52% w wieku 30–44 lat. Im wyborcy starsi, tym większe poparcie miał kandydat republikański.

Wzrost znaczenia mniejszości ciemnoskórej, latynoskiej i azjatyckiej będzie rosnać w przyszłości. Szacuje się, że w roku 2050 Latynosi stanowiąc będą 29% ludności Stanów Zjednoczonych, ciemnoskórzy 13%, a Azjaci 9% - czyli łącznie ponad połowę wszystkich obywateli USA, co oznacza dotychczasowe mniejszości staną się większością, całkowicie zmieniając nie tylko społeczeństwo, ale także priorytety polityczne tego wielkiego kraju. Obecnie deklarowany zwrot USA w kierunku Pacyfiku ma głębokie uzasadnienie nie tylko w fackie wzrostu znaczenia ekonomicznego Chin, Indii, Indonezji, Japonii, ale także i w tym, że ludność Stanów nie będzie miała takiego poczucia związków z Europą, jakie miała dotychczas.

Kolejny istotny czynnik, zmieniający społeczeństwo USA, to wzrost liczebny ludności, która określa się, jako „areligijna”. W 2012 roku stanowili oni 19,6% ludności, będąc drugą, po katolikach (ok. 25%), grupą „wyznaniową” (w sumie więcej jest wyznawców różnych, często skonfliktowanych odmian protestantyzmu, dlatego statystyczne nie są traktowani jako jednolity podmiot, tylko oddzielnie; baptyści, anglikanie, purytanie, mormoni itd.). W większości niewierzący (ok. 15%) wykazują całkowity brak zainteresowania jakąkolwiek religią, pozostali określają się, jako ateści bądź agnostycy. Ta grupa łącznie w szybkim tempie zwiększa swoją liczebność - jeszcze w roku 2007 szacowano ich liczbę na ok. 15%, Ponieważ ponad 32% ludności areligijnej to młodzież (18–29 lat) zarówno udział, jak i znaczenie tej grupy będzie dalej rosło w szybkim tempie.

Skąd takie zmiany? Stany Zjednoczone uważane były za wyjątkowo religijny kraj świata, ilość uczestników różnych religijnych spotkań był masowy, porównywalny z zachowaniami

ludności „Trzeciego Świata” niż krajów rozwiniętych ekonomicznie: Europy, Japonii, Australii. Wynika to z faktu, że religijność amerykańska miała, i ma w dalszym ciągu, szczególnie wśród starszych, korporacyjny charakter: udział w niedzielnej mszy był jedyną często możliwością, że ludzie wychowani w odmiennych tradycjach kulturowych mogli się spotkać i mieć poczucie wspólnoty. Stąd mamy np. katolickie parafie latynoskie, koreańskie, polskie. Ludzie do nich uczęszczający przyjeżdżają z odległych części miast, choć mogą mieć z rogiem świątynię katolicką, ale dla obcych etnicznie. Rozwój komunikacji internetowych i sieci tzw. społecznościowych umożliwia stwarzanie takiego poczucia związku społecznego bez konieczności udziału w tradycyjnych zgromadzeniach religijnych. Okazało się, że msze, pielgrzymki, odpusty itp. miały przede wszystkim znaczenie wspólnotowe, a nie wyznaniowe.

Wybór Obamy na prezydenta jest, więc rezultatem przemian społecznych, jakie zachodzą w Stanach Zjednoczonych.

W Stanach Zjednoczonych formalnym fundamentem prawnym relacji społecznych są tradycje Oświecenia. Państwo założone przez masonów i ateistów angielskich kolonii wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej ma zapisane w swojej Konstytucji podstawowe prawa każdej jednostki do wolności, demokratycznych rządów, swobody wyznawanej wiary lub jej braku, równości wobec ustalonego przez obywateli prawa. Te zasady są ściśle przestrzegane, dotyczą każdego, niezależnie od zajmowanej pozycji społecznej. Oburza to często Europejczyków, gdyż na Starym Kontynencie przetrwały jeszcze tradycje kastowości, podziału na lepszych i gorszych obywateli, wobec których prawo działa w zróżnicowany sposób (przykładem głośnym i drastycznym tej tradycji było gorszące zachowanie w Ameryce Dominique Strauss Khana, Francuza, szefa Międzynarodowego Funduszu Walutowego). Warto przy tej okazji dodać, że w USA praktycznie każdy ma prawo mieć broń i jej użyć w obronie własnej. Prawo do broni uważane jest za jedno z podstawowych praw obywatelskich, zapisanych w Konstytucji: nawet, jak to miało miejsce wielokrotnie, że niepoczytalny umyślowo zastrzeli kilka niewinnych osób.

Stany Zjednoczone są nie tylko rajem dla takich, którzy strzelają do niewinnych współobywateli, ale także przykładem, że poglądy, uznane za oczywiste w Europie, nie są prawdą w odmiennych warunkach społecznych. Dobitym przykładem jest fakt, że Weberowska analiza, uznająca protestantyzm za nośnik innowacyjności i nowoczesnego kapitalizmu, nie sprawdza się w Nowym Świecie.

Badania waszyngtońskiego Instytutu Pew Forum on Religion and Public Life dotyczące związków między poziomem dochodów a wykształceniem, wykazały, że najbardziej wykształconą grupą wyznaniową są: Hinduiści – ponad 75% wyznawców tej religii ma wyższe wykształcenie (właściwie, według polskiej nomenklatury, pomaturalne: college graduates). Drugi w kolejności, co już jest zgodne z obiegową opinią, są wyznawcy reformowanego judaizmu (65%), dalej w kolejności konserwatywni judaishi (58%) i anglikanie (54%). Gdzież są nasi protestanci: baptyści, Świadkowie Jehowy, Pentokostalsi i inni na nowo narodzeni chrześcijanie (ich najbardziej znanym przedstawicielem jest były prezydent W. Bush): na końcu stawki – od 8% do 18% tych społeczności ma wyższe wykształcenie. Katolicy notują wskaźnik nieco powyżej średniej: ok. 25%, bezbożnicy: 46%, podobnie jak buddyści i prawosławni.

Ciekawe jest porównanie dochodów gospodarstw domowych. Związek między wykształceniem a dochodami jest oczywisty, ale religią i dochodami mniej jednoznaczny: w tym przypadku przodują wyznawcy judaizmu reformowanego (69% rodzin o dochodach powyżej 75 tys. dolarów rocznie), ale tuż z nimi hinduiści (68%). Na dole zestawień lokują się ponownie wyżej wymienieni protestanci.

Z kolei, jeśli spojrzymy na dane obrazujące związek między przynależnością rasową a wyznawaną religią, to się okazuje, że baptyści, lokujący się na dole zestawień: edukacji i wykształcenia, to w 92% czarni. Hinduiści to w 88% Azjaci, czyli ludzie pochodzący z Indii. Wśród katolików przeważają biali (65%), ale ten procent zmniejsza się w szybkim tempie na korzyść Latynosów.

Te zestawienia statystyczne uwidaczniają, że czynnik religijny jest ważny, ale nie rozstrzygający. Wśród ludności białej niewątpliwie wyznawcy różnych form judaizmu i anglikanie, potomkowie pierwszych osiedleńców z Wielkiej Brytanii formują elitę wiedzy i pieniądza. W szybkim tempie dołączają do nich wyznawcy Siwy – już obecnie spośród nich rekrutują się najwybitniejsi uczeni, duża grupa prosperujących wolnych zawodów, najbardziej obrotni przedsiębiorcy. W maju 2011 roku najzamożniejsi z nich stoczyli zacieklą wojnę na giełdach Nowego Jorku o wpływy na rynku funduszy najwyższego ryzyka, najbardziej dochodowych. Była to niemal wojna domowa, odbywała się między maklerami pochodzącymi z Azji Południowej.

Katolicy, muzułmanie, mormoni i luteranie to wyznania wielorasowe, pochodzące z różnych części świata. Wśród katolików mamy parafie tradycyjne, włosko-polsko-irlandzkie, następnie szybko rozwijające się latynoskie oraz koreańskie. Ten podział wyznawców według grup etnicznych potwierdza, że czynnikiem różnicującym nie jest religia, a wspólnota kulturowa.

Ciemnoskórzy, którzy w większości są protestantami, także są bardzo zróżnicowani. Liczną jest grupa wykształconych i zamożnych: ich najwybitniejszym przedstawicielem jest niewątpliwie prezydent Barak Obama, ale widoczni są oni także w armii, biznesie, często na najwyższych stanowiskach. Ciemna skóra nie przeszkodziła im w zrobieniu kariery zawodowej. Z drugiej strony mamy rozległe getta wielkich miast, gdzie jakikolwiek obcy traktowany jest z wrogością, a poruszanie się po zmroku dla osoby o białej skórze jest po prostu samobójstwem. Ludzie żyją tam od pokoleń, rzadko opuszczając rodzinne miasta. Widoczne jest tu odmienna postawa niż reprezentowana przez Latynosów, aktywnie przemieszczających się po całym kraju w poszukiwaniu pracy, widocznych na budowach, w obsłudze szpitalnej, służbie domowej, w handlu. Czarni nie są tak mobilni, zastygli w swoich lokalnych środowiskach.

Sukces wyznawców judaizmu w Stanach Zjednoczonych wynika przede wszystkim z sytuacji braku uprzedzeń religijnych w nowo tworzącym się społeczeństwie. O ile w Europie, z jej silnymi tradycjami feudalnymi i kastowymi, Żydzi zawsze byli postrzegani, jako zagrożenie dla elit władzy, to w Nowym Świecie każdy przybysz nie napotykał na ograniczenia macierzystego, europejskiego społeczeństwa. Te czynniki przyniosły sukces, a potwierdzają go z kolei osiągnięcia społeczności hinduskiej w Stanach Zjednoczonych. Hinduizm ze swej istoty nie zawiera jednej, nieomyślnej Świętej Księgi spisanej wieki temu, ani rozbudowanego, hierarchicznego kleru, a wyznawcy mają prawo, a nawet obowiązek mieć własne zdanie o swojej drodze życiowej, dharmie, w życiu doczesnym i w kolejnym wcieleniu. We własnym kraju, nad Gangesem, te poznawcze możliwości hinduizmu wtłoczone były, i są, w ciasny gorset ścisłych reguł kast, do której każdy należy od momentu urodzenia. W Stanach Zjednoczonych nie ma kast, sukces lub klęska każdej jednostki jest rezultatem jej własnych wysiłków. Hindusi, podobnie jak Żydzi, wykazali, że uwarunkowania kulturowe, preferujące wiedzę, inicjatywność jednostki, są najbardziej wartościowym kapitałem pozwalającym na wygraną wyższej pozycji w społeczeństwie, które w niewielkim stopniu zważa na pochodzenie, nie oceniając ani nie wartościując jednostki zależnie od religii lub pochodzenia etnicznego.

Nie wszystkie grupy społeczne wykorzystują te możliwości. Ograniczenia kulturowe likwidują nawet te szanse, które formalnie stwarza religia, jak w przypadku protestanckich wyznawców murzyńskich gett czy polskich katolików, dla których nie religia, a wspólnota jest wartością kultywowaną przez pokolenia, a reguły wiary są martwą literą, procesyjnym ozdobnikiem.

Te rozliczne nowe grupy społeczne: religijne i etniczne, zmieniają amerykańskie społeczeństwo. Ludność o zachodnioeuropejskich korzeniach traci swoją dotychczas dominującą pozycję, wraz ze spadkiem liczebności, pozycji finansowej i wpływów. Władzę przejmują nowi, którzy jeszcze kilkanaście lat temu stanowili margines: czarni, kobiety, bezbożnicy, homoseksualiści, Latynosi i Azjaci. Europa, zastygła w przeszłości, traci na znaczeniu.

Autor artykułu jest ekonomistą i historykiem, badaczem współczesnych przemian cywilizacyjno-kulturowych, znawcą problemów Indii i innych krajów Dalekiego Wschodu; członkiem zespołu naszej redakcji.

DZIEJE JEZUSA



Zabudowania dzisiejszego Kościoła Bożego Grobu obejmują nie tylko teren, gdzie stał pierwotny Kościół Zmartwychwstania, ale i Kalwarię

Edward A. MIERZWA **JEZUS: widziany inaczej** (Cz. III)

No właśnie, dlaczego Piłat się zdziwił? Rzymianie, a także Chińczycy, krzyżowali tylko tych, którym chcieli zadać straszliwe, parudniowe męki, bowiem ukrzyżowany umierał zwykle kilka dni. Historycy rzymscy opisali wystarczająco dużo takich egzekucji, chociażby krzyżowanie chrześcijan przez Nerona, czy uczestników powstania Spartakusa i zawsze od ukrzyżowania do

chwili zgonu mijały nie godziny, ale minimum 2–3 dni. Dlatego Św. Marek mówi o zdziwieniu Piłata, gdy Józef z Arymatei poprosił o wydanie ciała Jezusa. Piłat zdziwił się, że Jezus skonał zaledwie w sześć godzin po ukrzyżowaniu. A będąc rzymskim namiestnikiem, zapewne nie raz miał do czynienia z krzyżowaniem osadzonych zarówno za antyrzymskie spiski jak i za pospolite zbrodnie, i wiedział jak długo ukrzyżowany umierał na krzyżu.

Jezus nie konał przez kilkadziesiąt godzin, ale zmarł – jak twierdzą ewangeliciści – w ciągu kilku godzin od ukrzyżowania. Czy rzeczywiście? Dlaczego nie zmarło dwu towarzyszących mu skazańców? Czy można to położyć na karb wycieńczenia organizmu Jezusa torturami i „drogą na Golgotę”? Nie można takiego wyjaśnienia wykluczyć, choć jest ono mało prawdopodobne, jeśli nie bezprzedmiotowe. Jezus wówczas był człowiekiem mniej niż 40-letnim. A zatem dlaczego zmarł tak szybko i czy zmarł? To następną wątpliwość.

Wróćmy do ewangelicznych opisów ukrzyżowania. Dlaczego Jezus wołał w języku aramejskim „*Eli, Eli, lema sabachthani?*”? Dlaczego nie użył języka hebrajskiego, powszechnie znanego większości osób znajdujących się pod krzyżem? Może słowa wypowiedziane w języku aramejskim były hasłem, po którym ktoś miał zareagować w umówiony sposób?

Dlaczego pod krzyżem znalazło się naczynie z octem i gąbką? Wszak, gdy Rzymianie krzyżowali tysiącami chrześcijan i przeciwników politycznych, np. spartakusowców, nie przynosili krzyżowanym ofiarom octu i gąbek. Dlaczego zatem wyróżnili Jezusa? I czy to

oni przygotowali gąbkę i naczynie z octem? Wreszcie dlaczego gąbkę nasączoną octem podano tylko Jezusowi, a nie podano jej wiszącym obok Jezusa zbrodniarzom? Kolejne pytania i powody do wątpliwości.

Tu dochodzimy, jak sądzę, do kluczowego momentu owych wątpliwości. Tylko ewangelista Łukasz, który był lekarzem, nie wspomina o gąbce i naczyniu z octem, a pisali o niej trzej pozostali ewangeliści. Łukasz jako lekarz musiał dobrze wiedzieć do czego taka gąbka i naczynie z octem służyły; znał okoliczności w jakich gąbkę stosowano i znał także skutek jej zastosowania. Czyżby miał świadomość, iż taka informacja w przyszłości może spowodować kiedyś, u kogoś, kto ma choć trochę wiedzy o starożytnej medycynie różne niepotrzebne domysły (jak chociażby niniejsze)?

To ostatnie pytanie jest nadzwyczaj frapujące.

Otóż dla celów medycznych starożytni lekarze preparowali tzw. „gąbkę nasenną”. Była to gąbka nasączana mieszaniną mandragory, lulka czarnego, cykuty, a następnie suszona. Pisali o niej wspomniani wyżej ówcześni lekarze: Galenus, a przede wszystkim Celsus w *De medicina*. Przed operacją gąbkę zwilżano i podawano do picia lub umieszczano pod nosem pacjenta, który po takiej inhalacji tracił przytomność a czasem i życie, pod wpływem środków odurzających i spowalniających akcję serca (cykuty, hioscyjminy). Dopiero zastosowanie octu winnego, neutralizującego toksyczne działanie cykuty, zmieszanego z wyciągiem z rośliny zwanej przestępem (*Bryonia*) – byliny z rodziny dyniowatych, podobnej do kolczastego ogórka i rozpinającej swe pędy po płotach i ogrodzeniach, zawierającej glikozydy działające silnie przeczyszczająco, pozwalało bez problemu wybudzić operowanego. Po takiej inhalacji lub wypiciu usypiającej mikstury pacjent rychło tracił przytomność, ale ocet neutralizował cykutę, a glikozydy z przestępu po pewnym czasie też robiły swoje, pomagając pacjentowi w szybkim i skutecznym wydaleniu niebezpiecznych substancji z organizmu. W trakcie operacji część trujących substancji wyciekała wraz z krwią. Jeśli zaś dokonywano zabiegu bezkrwawego, np. resekcji zęba, usunięcia obcego ciała z oka, wówczas puszczano uśpionemu pacjentowi krew by przyspieszyć wydalenie części alkaloidów z organizmu.

Wszystko to zastosowano w przypadku Jezusa. Mamy tu gąbkę nasączoną octem, mamy puszczenie krwi, mamy objawy śmierci, które jak można sądzić śmiercią nie były. W gronie osób asystujących w ukrzyżowaniu Jezusa był ktoś, do kogo było skierowane hasło w języku aramejskim: „*Eli, Eli, lema sabachthani?*”. Jezus nie mógł dać sygnału w języku hebrajskim, bowiem mogłoby to wzbudzić podejrzenia wykonawców wyroku. Zatem musiał być tam ktoś, kto hasło zrozumiał i podał Jezusowi „gąbkę nasenną” umoczoną w occie; ktoś, kto nie dopuścił do połamania Jezusowi goleni i ktoś kto zajął się Jezusem po zdjęciu z krzyża. I mamy w Ewangeliach dokładną wskazówkę kim był wtajemniczony. Wskazują go wszyscy czterej ewangeliści – był to Józef z Arymatei, lekarz, bliski przyjaciel Jezusa. Józef zabrał ciało, owinał je w czyste płótno i złożył w nowym grobie, który parę dni wcześniej kazał wykuć w skale.

Św. Jan. 19. 38, mówi więcej: „...Józef z Arymatei, który był uczniem Jezusa, lecz ukrytym z obawy przed Żydami...”. To właśnie Józef z Arymatei, nie rodzina; a wiemy że Jezus miał nie tylko matkę, ale i braci; zajął się rzekomym pogrzebem Jezusa, a wcześniej być może przekupił samego setnika (poświadczył przeciw śmierć Jezusa przed Piłatem), asystującego przy ukrzyżowaniu, by podano Jezusowi umoczoną w occie „gąbkę nasenną”, by puszczono mu krew i nie łamano goleni (by go nie dobito). To co się wydarzyło pod krzyżem nasuwa wiele pytań, bowiem nie były to okoliczności jakie zwykle towarzyszyły ukrzyżowaniu. Okoliczności owe dają podstawę do snucia przypuszczeń, że scenariusz tych zdarzeń został uprzednio zaplanowany. Został zaplanowany przez następujące osoby dramatu: Jezusa – znawcę medycyny i psychologii; Józefa z Arymatei – przyjaciela Jezusa, lekarza, osobę powszechnie szanowaną i bogatą; jedyne obok Jezusa – spośród biorących udział w scenie ukrzyżowania, znającego język aramejski oraz najmłodszego z uczniów, Judasza Iskariotę (z Kariotu), skarbnika stowarzyszenia uczniów Jezusa. Ten

ostatni był wtajemniczony w przygotowywaną mistyfikację. Nie zdradził dla rzekomych 30 srebrników, bo to Jezus przecież już podczas ostatniej wieczerzy wydał mu polecenie wskazania go strażom. Potem, ten dość młody wiekiem, wrażliwy człowiek w zderzeniu z wszechstronnym potępieniem, nie mogąc udowodnić, że wykonał jedynie życzenie Jezusa – popełnił samobójstwo.

Śmierci Jezusa na krzyżu przeczy fragment Ewangelii Jan. 19.38-39 (Pogrzeb Jezusa): „Potem Józef z Arymatei, który był uczniem Jezusa [...] Poszedł więc i zabrał Jego ciało. Przybył również i Nikodem, ten który po raz pierwszy przyszedł do Jezusa w nocy i przyniósł około stu funtów [ca 17.5 kg – E.A.M.] mieszanki mirry i aloesu...” Interesujące: mirra i aloes? Nigdy w procedurze balsamowania nie stosowano maści aloesowych. Taką maść stosowano wyłącznie w celu przyspieszenia procesu gojenia ran. A poza tym żydowskiej tradycji i obyczajowości obcy był proceder balsamowania zmarłych jako niezgodny z religijnymi nakazami. Zatem skoro tradycja żydowska zakazywała balsamowania ciał, to w jakim celu Nikodem dźwiżył tyle aloesowych maści wspomagających procesy szybkiego gojenia ran? Brak logiki u św. Jana? Nie! Rzeczywiście chodziło o szybkie wygojenie ran. Św. Jan nie był lekarzem i nie wiedział, że pisząc o maściach Nikodema, rzuca cień na dogmat o śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa. Co na to św. Łukasz? Nic! Napisał tylko: „Były przy tym niewiasty (przy grobie Jezusa-EAM)... przygotowały wonności i olejki;” Wszak był lekarzem i wiedział do czego stosował aloes.

Ostatnim moim argumentem i dowodem przeciwko śmierci Jezusa na krzyżu, a zatem podważającym dogmat o zmartwychwstaniu, jest jedna z najświętszych relikwii chrześcijaństwa – całun turyński. Właściwie dla chrześcijaństwa byłoby lepiej gdyby ów całun w ogóle nie istniał, lub okazał się fałszerstwem średniowiecznym. Dlaczego? Bo całun turyński, jeśli w niego był owinięty Jezus, jest zaprzeczeniem tezy o śmierci tego ostatniego. A to oznacza, że dogmat o zmartwychwstaniu jest co najmniej podejrzany, zaś cała sprawa ze śmiercią Jezusa na krzyżu to prawdopodobnie zręcznie ukartowana, która miała ogromny wpływ na dzieje świata. Pominę tu fakt, iż twórcą chrześcijaństwa w obecnej formule nie był żaden z uczniów Jezusa, nie np. Piotr, a Szawel z Tarsu, (św. Paweł), który ani znał osobiście Jezusa, ani był dogłębnym znawcą jego nauki. Wiedział o chrześcijanach dużo, bo początkowo był ich prześladowcą, ale stworzył paulińską wersję chrześcijaństwa odległą od zbliżonej do judaizmu nauki Jezusa.

Dokończenie w następnym numerze.

ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY „RES HUMANA” W 2013 ROKU

Rok 2013, jak już wcześniej informowaliśmy, pragniemy uczynić rokiem wzrostu liczby prenumeratorów RES HUMANA. Liczebny wzrost prenumeratorów ustabilizuje bowiem nakład czasopisma, zracjonalizuje jego kolportaż, co pozwoli istotnie zmniejszyć koszty wydawnicze a tym samym zapewni stabilność naszego dalszego istnienia.

Tym się kierując zwracamy się do wszystkich dotychczasowych prenumeratorów z serdeczną prośbą o kontynuowanie prenumeraty w 2013 r., a wszystkich naszych Czytelników o podjęcie prenumeraty, o powiększenie kręgu Przyjaciół «RES HUMANA», kręgu tych, którym bliskie jest współuczestnictwo w poważnych rozmowach o człowieku i współczesnym świecie, podejmowanych przez wybitnych ludzi polskiej nauki i kultury w duchu humanistycznych wartości świeckich i dialogu.

Redakcja RES HUMANA

Prenumeratę czasopisma na cały rok, której koszt wynosi 40 zł, można najlepiej dokonać na stosownym blankiecie w formie przelewu bankowego w każdym urzędzie pocztowym na konto bankowe naszej redakcji **nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146** w Banku Millennium (nasz adres: 00-553 WARSZAWA, ul. Koszykowa 24/1).

Prenumeratę RES HUMANA można też zamówić w firmie kolportażowej RUCH S.A. poprzez Internet: strona www.prenumerata.ruch.com.pl; tel. kom. 801-800- 803.

FORUM

FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Okiem filozofa

Zatrważający brak bezinteresowności

Dyskusje na temat motywów, które kierowały decyzją Palikota są bezprzedmiotowe. Do wyrażonych już hipotez można dodać również prawdopodobną. Być może zależało, Palikotowi na tym, by pogłębić tolerancję w naszym społeczeństwie, skoro funkcję wicemarszałka Sejmu zamierzał powierzyć osobie transseksualnej. Palikot jest politykiem wybitnie inteligentnym, a więc świadomym tego, że dominuje u nas dulszczyzna, a mocą prawa można ją skutecznie naruszyć.

Moje głębokie oburzenie wywołuje fakt, że dziennikarze i politycy – poza Palikotem – traktują jako zjawisko oczywiste przyznanie sobie przez Prezydium Sejmu wysokich nagród. Pieniądze na te nagrody płyną nie z prywatnych kieszeni lecz z pieniędzy, które są wspólną własnością wszystkich Polaków. Nawet gdyby Polska nie znajdowała się w stanie kryzysu gospodarczego, to i tak wątpliwe byłoby uzasadnienie dla przydzielania sobie nagród. Cóż takiego wyjątkowego uczynili dla społeczeństwa ci parlamentarzyści?

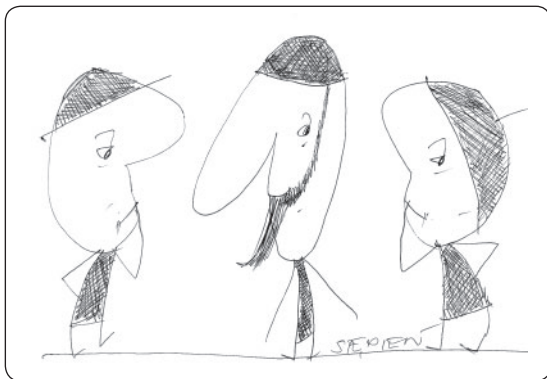
Spodziewałam się naiwnie, że z powodu wzięcia nagrody zostanie odwołany wicemarszałek PiS-u, bowiem jest to partia kierująca się teoretycznie miłością bliźniego. Spodziewałam się również naiwnie, że zostanie odwołany wicemarszałek SLD, bowiem partia lewicowa – jeżeli nie chce pozostawać nią jedynie z nazwy – powinna być zgorzonna tym, że w obecnych warunkach, parlamentarzyści wysoko opłacani, przyznają sobie dodatkowo wysokie apanaże.

W dobie liberalizmu ekonomicznego, czyli przeliczania wszystkiego na wartości materialne, umknęło uwadze naszego społeczeństwa, że osoby wybierane do parlamentu powinny myśleć nie o korzyściach materialnych lecz o obowiązkach wobec wyborców. Są światli dziennikarze, ale oni także milczą i nie zwracają uwagi opinii publicznej nawet na to, że parlamentarzyści zmieniają partie jak przysłowiowe rękawiczki. Na Wandę Nowicką, która nie wykazała się wrażliwością lewicową już czeka propozycja, by wstąpiła do SLD. Jest to tym bardziej nieprzyjemne, że nie kandydowała z ramienia SLD w ostatnich wyborach z tego powodu, że zaproponowano jej niekorzystne miejsce na liście wyborczej. Przypomniał to w telewizji Grzegorz Napieralski traktując tę postawę jako zrozumiąłość, co znaczy, że ideowość prowadząca w konsekwencji do wyłączenia związku z jakąś partią jest dzisiaj zapomniana. Niestłuchano to upadek.

Walka polityczna toczy się obecnie przede wszystkim w obrębie byłych działaczy Solidarności. SLD mocno osłabiony nie prowadzi z tą partią ostrych sporów. Solidarność domagając się kiedyś standardów etycznych w polityce i krytykując czasy PRL – daje obecnie fatalny przykład. Powołam tu jeden. Otóż marszałek Senatu nie dostrzega nieprzyzwoitości w przyjęciu przez siebie i kolegów nagrody pieniężnej.

Funkcjonujący u nas mit prawdziwego Polaka – katolika i narastająca indoktrynacja sprawia, że jeżeli społeczeństwo zauważa wady wśród rządzących, to wini za to Żydów. To oni właśnie mają odpowiadać za wszelkie niedostatki, braki i wady naszej rzeczywistości. Polacy stali się bierni i za dramatyczną sytuację w jakiej znajduje się nasze państwo, winą obarczają Żydów. Jesteśmy przesyleni antysemityzmem do tego stopnia, że ktoś negatywnie oceniany – w opinii wielu – nie może być Polakiem.

To, o czym wyżej napisałam, kojarzy mi się z awanturą medialną wokół filmu „Pokłosie”. To wybitne dzieło artystyczne ukazując okrutną przemoc Polaków wobec Żydów, nie sugeruje, że każdy Polak jest antysemitą i nie neguje pomocy okazywanej Żydom w czasie okupacji. Unikamy refleksji nad naszymi wadami narodowymi. Bez głębokiej autorefleksji trudno jest o zmianę. I na koniec uwaga o charakterze ogólnym: uczciwego i porządnego człowieka żaden prowokator nie skłoni do przemocy.



Rys. Jan Stepien

Eugeniusz KABATC

Popołudnia filozofów

Tajemnice Marii eSZ.

*Raz pewna Maria z Warszawy
Bez wstydu i bez obawy
Zawsze wieczorem lub raniem
Tańczyła z jednym Jankiem.
W promieniach piękna i sławy.*

Powyższy limeryk, kiedy w pewnej chwili został zacytowany jako motto rozważań podczas dziesięciogodzinnej konferencji naukowej w Domu Literatury w Warszawie, wywołał na sali – pełnej publiczności i powagi – szeroki uśmiech pogody i uznania. Gdzieś w meandrach filozofii Marii Szyszkowskiej, której konferencja została poświęcona, ukrywa się wesoły skrzat, radujący się ludzką naturą niczym „Sokrates tańczący” w opiniotwórczej poezji Juliana Tuwima.

– Patrzcie państwo! – zawołał Przyjaciół, usłyszawszy od Profesora to porównanie. – Jak to się składa, mamy akurat w Ojczyźnie Rok Tuwima! Czy pani Maria jest poetką?

- Wiem, że za młodu pisywała wiersze - odpowiedział Profesor wymijająco.
- Teraz, o czym wszyscy wiedzą, jest poważną i poważaną Panią Profesor. Jest filozofem, mój przyjacielu.

- Poeta, filozof, wielka to różnica? Przepraszam ...- Przyjaciel wydał się trochę speszony. - W pewnym wieku człowiekowi wszystko ze wszystkim się kojarzy...

Profesor uśmiechnął się i skinął głową ze zrozumieniem.

Obaj nasi „filozofowie sjeisty” brali udział w benefisie Pani Profesor. Wynieśli stamtąd „wrażen moc”, jak określił to Przyjaciel, zmęczony konferencją, ale i rozbawiony kalejdoskopem wystąpień dwudziestu pięciu dobrze przygotowanych referentów. W przeciwieństwie do Profesora nie znał promowanej z tej okazji książki, napisanej w hołdzie Pani Profesor przez autorów, uczonych i akolitów, mówiącej wprost i dokoła o „Filozofii Marii Szyszkowskiej” z różnych, często osobistych punktów widzenia. Ale kiedyś przeczytał coś o „filozofii codzienności” tej głośnej edukatorki i dał się uwieść jej urokowi - słowa, wyglądu i łagodności...

- Hola, hola! - zawołał Profesor, powstrzymując Przyjaciela w zwierzeniowym rozpędzie. - Łagodna ona ci jest z pozoru tylko, to osoba w rzeczywistości bardzo wymagająca, tyleż od siebie, co od innych, stanowcza, wychylając się spod skrzydła prakseologii prof. Kotarbińskiego, konsekwentnie stawia na wzajemną spolegliwość.

- No dobrze, dobrze, ty tu o maśle, a ja o chlebie - replikował Przyjaciel. - Dla nas, szarych i maluczkich, najważniejszy jest byt codzienny, pokój i zgoda, praca i sprawiedliwość w równości lub nie. I tolerancja, o której wciąż mówi Pani Profesor, a nie przymus i zakazy.

- Uwaga, wchodzimy w las, przyjacielu - ostrzegł Profesor. - To piękna część natury, ale można w niej łatwo zabłądzić. Bardzo tu się przydaje busola. Pani Maria, jak mogłeś usłyszeć, próbuje ją ustawić na kilku poziomach swojej filozofii. Zaczynając od najwyższej, jak sądzę, półki, „wiecznego pokoju” Kanta, któremu poświęca się, zaiste, z oddaniem, wbrew zatrzwożonym głosom polityków, że już „minęły pacyfistyczne lata” i pora znowu się zbroić. A potem jesteśmy w imadle ponadnormatywnej etyki, między moralnością a polityką, jakby we śnie romantycznym, z historią literatury w zapleczu. Wmawia się jej, że pozostaje w ramionach Młodej Polski, może dlatego, że tak polubiła Przybyszewskiego... Tej tajemnicy nie chcę zgłębiać, bo ja ją widzę wśród neoromantyków polskich, „w opozycji do przeciętności”, jak to sama określa, w opozycji przeciwko postawom oportunistycznym na poziomie społecznym. Poświęciła temu kilkadziesiąt książek, setki artykułów naukowych i wypowiedzi medialnych, tyleż konferencji i sympozjonów dla debaty o najważniejszych sprawach myślących Polaków, skupiając wokół siebie kolejne pokolenia uczniów i wychowanków z wyższych uczelni Warszawy, Kielc i Białegostoku - i nie tylko. Działając do dziś z niespożytą siłą, godną podziwu i zazdrości.

- Zjawiskowa niewiasta, owszem - przyznał Przyjaciel. - Ale coś mi się zdaje, że niewiele z tej szlachetnej naukowości udało się jej wprowadzić w życie. Nie czytamy w jej ambitnym sercu, jasne, ale chyba cierpi z tego powodu, co?

Profesor pomyślał, że nie jest w stanie odpowiedzieć na tę wątpliwość. Pełnia doskonała nie dokonuje się w sposób sprawdzalny, Rzecz „o prawdzie” Akwinaty od dawna dobrze są znane uczoney, udręki ducha składane w ofierze rozumowi niech pozostaną jej sekretem. Jak jej niezwykła osobowość, co się nie mieści w normach akademickich. Jak jej wymagająca lewicowość, nie godząca się na bierność, jak jej społecznie wojowniczy temperament nie dopuszczający myśli, że mogłaby tylko objaśniać świat, nie chcąc go zmienić. Nie musiała przy tym powoływać

się na Marksa, i tutaj wystarczał jej Kant, którego „kategoryczny imperatyw” ostro ponaglał ją do działań. Wnikliwa jej biografka, Anna Kryniecka, opis „dziejów życia” swojej Marii zaczyna trzema krótkimi zdaniami: „Maria Szyszkowska mieszka w Nałęczowie w «chacie na krańcu świata». Ogród przylegający do jej domu kończy się bezkresnym horyzontem. Tutaj niebo styka się z ziemią niczym głoszone przez Marię Szyszkowską idee z praktyką życia”. Profesor przeczytał to Przyjacielowi.

- Zobaczyć to nocą i będzie, wypisz wymaluj, jak u samego Kanta - rozeźmiał się Przyjaciel.

Profesor też się uśmiechnął, ale smutno.

- Coraz częściej wydaje się osamotniona...

- Z armią pochlebców wokół - nie powstrzymał się przed gorzką uwagą Przyjaciela.

- Samotna w tłumie - skomentował sentencjonalnie Profesor. - Ludzie lgną do niej, do jej tajemnej dobroci...Mogłaby się cieszyć...Próbuje, ale coś jej przeszkadza.

- Niepotrzebnie wdepnęła w politykę - ocenił Przyjaciel.

- Ona jest filozofem prawa - zauważył Profesor. - Prawo to taki węzeł polityki i moralności, z którego wydobyć się nie sposób.

- Ale wysiłki trwają, prawda? - pocieszył się Przyjaciel. - Chwała bojownikom, co nie składają broni!

- Zaczekaj, przyniosę szampana - powiedział Profesor.

- Niech słowo zamieni się w czyn! - ożywił się Przyjaciel.

- Potrafi! - rzucił Profesor przez ramię, sięgając do lodówki. - A wtedy bywa ostre, jak brzytwa Okhama!

- Że co? - nie dosłyszał Przyjaciel.

- Mówię, że pora wznieść toast - powiedział Profesor, wracając ze schłodzoną butelką na tacy. A gdy huknęła korkiem w sufit triumfalnym wystrzałem, przepełnił kieliszki pieniącym się winem i dodał: - Wypijmy za Marię-sąsiadkę, by pozostała tu z nami, na wspólnych łamach, ze swoją jasną w chmurach przyjaźnią...

Wacław SADKOWSKI

Lektury nieobowiązkowe

Na rozdrożu - w bezdroża?

Tak, rozdroże z małej litery, bo nie chodzi o noszący takie miano placyk w Warszawie (ten z pomnikiem Dmowskiego), ale o rozdroże życiowe, o nieuniknioną konfrontację z nowym środowiskiem, nową sytuację w kraju, a także o nowe usytuowanie społeczne i życiowe bohatera powieści Zbigniewa Domino *Młode ciemności* (Studio EmKa, Warszawa 2012).

Powieść ta, jak wiadomo, jest trzecim ogniwem cyklu, a właściwie wielotomowej powieści tego autora - poprzednie nosiły tytuły *Syberjada polska* i *Czas kukulczych gniazd*. Swą trylogię tworzył - i wydawał - Domino od początku XXI wieku, nie odrywając się niemal ani na chwilę od innych prac literackich (z wyjątkiem reportażowej książki o Chinach); wynik jest imponująco spójny i artystycznie konsekwentny. Jest ten cykl powieściowy nieporównywalny z niczym, co się dzisiaj pojawia na księgarskim rynku. Jest zamierzeniem epickim, przedstawiającym losy kresowian, wywiezionych pierwszej wojennej zimy z Wołynia na Syberię,

a następnie, po latach powracających do Polski wraz z armią Berlinga (pokolenie dorosłych) albo pociągami repatriacyjnymi i osiedlających się (czy raczej – osiedlanych) na tak zwanych ówczesnie Ziemiach Odzyskanych.

Trylogia Zbigniewa Domino utrzymana jest w konwencjach kompozycyjnych i narracyjnych klasycznej epiki polskiej; narrację snuje – oczywiście w trzeciej osobie – wszechwiedzący narrator (wszechwiedza jego zamyka się w polu widzenia głównego bohatera i w jego horyzontach myślowych). Tę samą konwencję stosowała Halina Auderska w powstałym w latach 70. zeszłego wieku *Ptasim gościńcu*, a przedtem Zofia Kossak (wtedy jeszcze!) Szczucka w pochodzącej z lat 20. tegoż stulecia powieści *Ku swoim*. W tej wierności, jaką Domino dochowuje tradycji, upatruję świadomy zamiar dopełnienia literackiego obrazu zesłańczej martyrologii Polaków w okresie porozbiorowym i powstaniowym. Jest uzupełnieniem tego obrazu o opis masowej migracji kresowian, zarówno geograficznej – przesiedleńczej, wynikłej z okoliczności geopolitycznych – jak i społecznej, spowodowanej awansem cywilizacyjnym i kulturowym. I powieść Domino okazała się dla tej tradycji dopełnieniem cennym; dwa pierwsze tomy cyklu uznano za najpełniejszy z dotychczasowych literackich obrazów wojennych i tuż powojennych losów polskich mieszkańców kresów wschodnich Rzeczypospolitej, za prawdziwie epicką panoramę ich losów i doświadczeń. Na szczególne podkreślenie zasłużyła sobie trylogia Domino wpisana w nią empatią dla „w porównywalnej skali traumatycznych losów i doświadczeń, członków sąsiedzkich grup narodowościowych, również poddawanych zesłańczym i prze- lub wysiedleńczym opresjom. Zadawanym – dodajmy – często przez ich macierzyste państwo.

Trzecie ogniwo cyklu wprowadza jego bohatera oraz jego środowisko, dość ściśle zespolone wspólnotą losów, w rodzący się właśnie nowy, powojenny, pojałtański świat, któremu rychło nadane zostanie miano PRL-u. Pierwszym symptomem „nowego” jest pozbawienie orła korony w godle państwowym, ale pierwszą zmianą w pozycji społecznej i ekonomicznej znacznych rzesz ludzi jest reforma rolna, w odczuciach wielu nie tylko wyrównująca wielowiekowe krzywdy, ale i równoważąca wojenne straty. Rodzina Staszka Doliny poniosła te straty również (jego matka zmarła na Syberii z wycieńczenia), ale osiadła i zapuściła korzenie nie na rzeszowszczyźnie, skąd się wywodziła, lecz na Dolnym Śląsku, na gospodarstwie lepiej wyposażonym i większym od wołyńskiej działki osadnika wojskowego (tyle że czarnoziem był tam urodzajniejszy od dolnośląskich polodowcowych piasków).

Staszka pociąga jednak miasto, marzą mu się studia prawnicze (w Warszawie mieszka wuj – adwokat). Zapewnienie chłopcu matury wymagało od ojca gospodarującego samotnie pewnych wyrzeczeń, ale wysłanie syna do miasta uniwersyteckiego przekracza już jego możliwości. System stypendialny, który w następstwie powoła do życia nową niemal klasę – „ludową inteligencję” – dopiero się wykuwa. Staszek wpada na pomysł ochotniczego – uprzedzającego pobór jego rocznika do wojska – wystartowania do szkoły oficerskiej, by po jej ukończeniu zapisać się na upragnione studia. Trafia na prowadzony przez dowództwo KBW (Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego) kurs (niespełna dziewięćmiesięczny!) szkolący przyszłych prokuratorów wojskowych. Najpierw jednak odbywa (jednomiesięczne) szkolenie bojowe w jednostce białostockiej walczącej z tym, co w jego ówczesnym otoczeniu nazywano wówczas „leśnymi bandami”. Zarówno jednak w tej jednostce bojowej, jak i w „szkole”, w każdą niedzielę wojacy w marszowym ordynku wyruszają na mszę do kościoła. Powieść kończy się promocją oficerską i – oczekiwaniem na skierowanie do któregoś z sądów wojskowych. Jest czerwiec roku 1950. W pamięci pozostają Staszce krwiawe walki ze zbrojnym podziemiem (ginie w nich kilku kolegów, a wśród cywilów – głównie realizatorów reformy rolnej i członków partii – trup ściele się równie gęsto; ofiary tych zabójstw są zwykle okrutnie

masakrowane). Pozostają też w jego pamięci pierwsze w życiu Staszka schludne stołówki wojskowe, czysta pościel w szkole oficerskiej – i mir, jakim dzięki swemu mundurowi, cieszy się Staszek w rodzinie oraz u całego zastępu dziewcząt.

W tym kontekście sytuacyjnym rodzi się w nim kiedyś pytanie, co właściwie łączy go z Kościołem – tak, właśnie z Kościołem, nie z religią, doktryną, mistyką. Pytanie owo nachodzi go niejako spontanicznie – nie zetknął się jeszcze z żadnymi próbami „ateizowania” młodych żołnierzy. I udziela sobie na to pytanie odpowiedzi – nic, poza przywiązaniem do tradycyjnych obrządków, przede wszystkim (a nawet wyłącznie) świątecznych. Kod etyczny zawdzięcza właściwie wyłącznie ojcu; sprowadza się on do ogólnych zasad przyzwoitości, nie jest sankcjonowany żadną aksjologią, lecz co najwyżej elementarnym poczuciem powinności obywatelskich. Ale w gruncie rzeczy silniejsze od tych mglistych ogólników, wyniesionych zarówno z domu, jak i ze szkoły (w pierwszych powojennych latach wychowawcami są przedwojenni jeszcze nauczyciele), jest w Staszku Dolinie żywe poczucie więzi z „Sybirakami” – towarzyszami zesłańczej niedoli. Jeden z nich pracuje zresztą w „bezpiece” – tropi agentów Wehrwofu (dywersantów posthitlerowskich, których na tych ziemiach można by zliczyć na palcach jednej dłoni), ale przy okazji spieszy z pomocą wołyńskiemu ziomkowi – przesiedleńcowi, szykanowanemu przez jakiegoś lokalnego satrapę. Ginie on w starciu ze zbrojnym podziemiem antyrezymowym, ku powszechnemu ubolewaniu towarzyszy niedawnej zesłańczej niedoli, tłumnie odprowadzających go do grobu. W kwestiach moralności powszedniej (czytaj: seksualnej, bo do tego sprowadza się ona w wydaniu katolicko-ludowym), bohater powieści Domino jest całkowicie zsekularyzowany i nie odczuwa najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu notorycznego łamania kościelnego zakazu uprawiania seksu nieświęconego sakramentem małżeństwa – nie spotyka się zresztą z najmniejszymi doktrynalnymi oporami przeciw seksualnej wolności ze strony swych partnerek. (Ciekawy to przyczynek do obrazu obyczajowości ludu polskiego.)

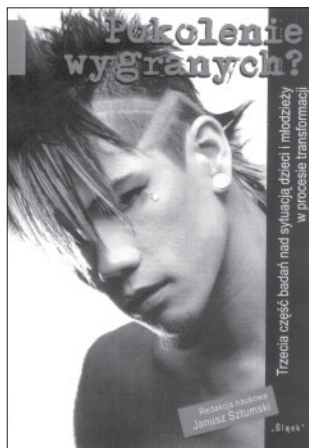
I z takim to wewnętrznym nastawieniem przystąpi do pracy jako prokurator wojskowy. Ponieważ podkreśliłem na wstępie kryptoautobiograficzny charakter powieści Domino, czuję się w obowiązku poinformować czytelników o tym, co mi wiadomo o dalszych losach jej autora. We wstrząsających wspomnieniach generała Kuropieski, torturowanego w areszcie śledczym kontrwywiadu wojskowego (mieszczącym się przy ulicy Oczki w Warszawie – Kuropieska nie załamał się w tym okrutnym więzieniu, prowadził tam nawet strajk głodowy) – znajduje się opis wizyty, jaką złożyli mu w celi dwaj młodzi prokuratorzy wojskowi, w randze kapitanów. Dzieje się to u samego początku „odwilży”, to znaczy po nadawanych na falach radia Wolna Europa rewelacjach zbiegłego na Zachód wicedyrektora departamentu śledczego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Józefa Światły. Mrożące krew w żyłach szczegóły stosowanych w kazamatach „bezpieki” praktyk zmusiły ówczesne kierownictwo partii do stopniowego wprowadzania różnych złagodzeń – misja owych kapitanów polegała na tym właśnie, by zainteresować się sytuacją więzienną generała Kuropieski i stanem jego zdrowia. Generał odnotował ludzkie zachowanie obu „wizytatorów”, a zwłaszcza jednego z nich – nazwiskiem Domino. W niedługi czas po tym Kuropieskę „zrehabilitowano” – to wysoce niestosowne określenie powinno być od razu zastąpione wyrazem „uniewinniono” i przeproszono. Co się zaś tyczy Zbigniewa Domino, zwolnił się z wojska i poświęcił pracy pisarskiej oraz w pewnym okresie – działalności politycznej.

Bardzo jednak chciałbym się dowiedzieć, co przeżywał i co przetrwał w sobie Staszek Dolina w latach następnych, kiedy zaczął już myśleć w sposób dojrzały niż za młodu. Maria Dąbrowska próbowała w swoim czasie (wkrótce po opublikowaniu noweli *Na wsi wesele*, ukazującej proces

Dokończenie z IV str. okładki

WŚRÓD KSIĄŻEK

Pokolenie wygranych? Trzecia część badań nad sytuacją dzieci i młodzieży w procesie transformacji, praca zbiorowa, pod red. Janusza SZTUMSKIEGO Wydawnictwo Naukowe ŚLĄSK, Katowice 2012, s. 308+2 nlb.



Gorycz i troska

Im bardziej wydłuża się perspektywa bliższego już ćwierćwiecza polskiej transformacji ustrojowej, tym bardziej widzimy coraz wyraźniej jej wiele blasków i niemniej

wiele cieni. To nie są równoważące się wartości, ale są pośród nich takie, które – choć nie wynikają z samej natury transformacji i nie stanowią jej jedyne świadectwa – często boleśnie ranią jej ogólny wyraz i kształt. Nazwijmy ten ból po imieniu: to sytuacja wielu, nawet bardzo wielu polskich dzieci i młodzieży, stan i perspektywy młodego pokolenia Połaków, z którym wiążemy wszyscy nasz wspólny los.

Jej obraz zawierają karty tej książki, trzeciej już po wydanych wcześniej podobnych raportach (z roku 2001 i 2006) z inspiracji i pod redakcją – jak to dobitnie podkreśla w *Rekomendacji* prof. Antoni Rajkiewicz – „niestrudzonego badacza współczesnych procesów społecznych profesora Janusza Sztumskiego”. Jego szczególną zasługą jest przy tym utrzymanie ciągłości tematycznej położenia młodej i najmłodszej populacji naszego społeczeństwa, badania jej stanu z różnych perspektyw, i nade wszystko badania bardzo profesjonalnego, dalekiego od łatwych uogólnień czy nie uwzględniających obiektywnych przyczyn stanu rzeczy, zjawisk wykraczających poza horyzont jednego kraju.

Jest dziś bowiem nasz kraj, ale i wiele innych, zasobniejszych od nas metropolii, miejscem buntu młodych, ruchu oburzonych, pozbawionych pracy i spychanych na margines życia społecznego, często absolwentów studiów wyższych a zarazem pozbawionych dalszych perspektyw. Ta książka nie jest analizą przyczyn tego stanu rzeczy, nie jest rozprawą nad wadami współczesnego liberalnego systemu politycznego czy gospodarczego, nie rozważa alternatywnych paradygmatów dalszego rozwoju tego systemu. A jednak poprzez fakty i dane bardzo konkretne, uzyskane w wyniku pionierskich pod wieloma względami prac badawczych młodych socjologów z kilku ośrodków akademickich, uzyskujemy materiał empiryczny o nieocenionej wartości holistycznej.

I oto przed nami całe bogactwo tego zasobu empirycznego. Jest nim najpierw studium Janusza Sztumskiego o „pokoleniu jako przedmiocie podjętych badań”, a zwłaszcza trafnie wyznaczone granice badanej populacji (urodzeni między 1985 a 2009 rokiem) oraz wnikliwa analiza procesu kurczenia się infrastruktury społecznej przy równoczesnym wzroście bezrobocia i liczby klientów pomocy społecznej; i są kolejno opracowania przedstawiające np. kwestie struktury klasowej współczesnego społeczeństwa w świadomości studentów Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu (Andrzej Przyemeński); rodziny zastępczej jako problemu społecznego (Małgorzata Satoła); prawa jako ważnego instrumentu w ograniczeniu zjawiska żebractwa wśród dzieci i rodzin w Polsce (Kazimiera Król); zażywania substancji psychoaktywnych czy alkoholizmu młodzieży (Beata Ziębińska, Bożena Zasepa); pomocy dzieciom pozbawionym środowiska rodzinnego (Bożena Kołaczek) czy kwestii zaburzeń psychicznych wśród dzieci i młodzieży i ich wpływu na procesy marginalizacji i wykluczenia społecznego.

Obraz sytuacji młodych Polaków, zarysowany w poszczególnych opracowaniach ukazuje, bo taki jest cel tej inicjatywy badawczej, sprawy włącznie bolesne, trudne, zjawiska i ich tendencje, z którymi Polska i świat borykają się, powiedzmy najogólniej, od zawsze; ukazuje np. liczbę 759 tysięcy uczniów, którzy korzystali w 2010 r. z posiłków opłacanych

przez pomoc społeczną, bo pochodzili z 400 tysięcy rodzin, w których żyło w niedostatku prawie 1,8 mln osób Ale to „od zawsze” ma swoje granice, swoją dynamikę, jest zawsze wielkim wyzwaniem, ale i nadzieją. Nadzieją, że świat zjawisk bolesnych, które, jak bieda ludzka „nie powinna mieć twarzy dziecka” (prof. E. Tarkowska), będzie się zmniejszać, bo sprzyjać będzie temu troska społeczeństw i rządów o stan spraw młodych generacji, że nauka i postęp wiedzy rozwiążą wiele problemów dziś nierozwiązywalnych, że ludzka solidarność międzygeneracyjna pozwoli uzyskać większy stopień społecznej sprawiedliwości.

Nadziei tej, rodzącej wiele inicjatyw godnych najwyższego szacunku (których pięknym przykładem są dzieła Jerzego Owsiaaka) w żadnym razie nie wolno wygaszać tym bardziej, że zjawiska społecznie bolesne nie ulegają zmniejszeniu lecz wykazują, niestety, wzrost w wielu ważnych segmentach naszego życia zbiorowego. Jego odzwierciedleniem jest, jak zauważa Janusz Sztumski we wstępie do *Pokolenia wygranych?*, opatrywanie po raz kolejny tych studiów pytajnikiem. Bo obok wielu autentycznie wygranych młodych Polaków jest niemniej wielu tych, których nie można uznać za wygranych: to wielka armia młodych bezrobotnych, którzy w wieku 24 lata i mniej stanowią ponad połowę ogółu bezrobotnych; i tych najuboższych, którym z roku na rok obniża się pomoc państwa, co najbardziej dotkliwie odczuwają dzieci i młodzieży.

Studia zebrane w tej książce są więc przygnębiające, ukazują te sfery społecznej rzeczywistości Polski współczesnej, te grupy społeczne, którym transformacja ustrojowa nie przyniosła sukcesu, których uczestnicy mają poczucie przegranych. To co najmniej jedna czwarta mieszkańców Polski, a to liczba na tyle znacząca, że nikt, komu drogie są wartości człowieka, nie powinien uznawać tego faktu za cenę, którą płacić musi wolność i demokracja, aby trwały. Bo to trwałość pozorna i krucha, bo to łatwy też łup dla jej wielu wrogów.

O docenienie tych właśnie wartości ludzkich, traktowanych jako najtrwalszy fundament wolności i demokracji, upomina się w istocie ta książka głosem pełnym gorczy, co ujmuje troski.

Zdzisław SŁOWIK

Konstelacje Stanisława Brzozowskiego —
redakcja naukowa, Urszula KOWALCZUK,
Andrzej MENCWEL, Ewa PACZOSKA, Paweł
RODAK. Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego,
Warszawa 2012.

Konstelacje Stanisława Leopolda B.



Wszelkie – wielorakie i nieraz bardzo głębokie – dociekanie hermeneutyczne, dotyczące osoby i dzieła Stanisława Brzozowskiego, zakreślają rozległe pole nieba i ziemi, określone przez samego pisarza jako wymóg swoiście utopijny: „Słowo polskie zwiastować ma myśli, do których nikt na świecie się jeszcze nie dopracował”.

Ta sprzeczność w apologii filozofii czynu może zaskakiwać, ale przecież wszystko w nim, ostatnim romantyku Młodej Polski, było młodzińczo rozdarte, nawet „dojrzałość dziejowa”, w której czyn miał prawo zatrzymać się na słowie. Duchowy kompleks, charakterystyczny dla intelektualisty bezradnego wobec fizyczności materii, prześladowe również Brzozowskiego, tyle że ten dzielny młody człowiek wymykał się z klątki upokorzeń, właśnie słowo biorąc za czyn. Nie było to łatwe ani, jak wiadomo, na tej sinusoidalnej drodze, zawsze skuteczne. Doły życia są tu głębsze, niż nam się na ogół wydaje. Autorzy tysiąca o Brzozowskim rzeczy, nieraz wręcz znakomitych, rzadko do tych piekieł schodzą...

Książka „Konstelacje Stanisława Brzozowskiego”, wydana przez Uniwersytet Warszawski po rocznicowej konferencji [stulecie śmierci] jako jej doniosły plon, swoimi analityczno-filozoficznymi ambicjami również obejmuje tę materię rzeczy, historię spraw, które urastają do granic nieba z widokiem ziemi we mgłę. Każdy z tych wnikliwych

referatów – a jest ich aż trzydzieści – rozważających szczegółowo różne strony i fascynacje literackie oraz filozoficzne pisarza, stanowi arcyciekawy obraz stanu umysłowości badacza, sięgającego do studiów tyleż swoich poprzedników, co dociekań i przeżyć własnych. Widać w tym rękę i rolę ważnego przewodnika akademickiego, który nie jest tu tylko profesorem, nie tylko uczonym, ale i wrażliwym, przejętym sprawą myślicielem i świadkiem.

Mam tu na uwadze Andrzeja Mencwela z młodszego pokolenia Współczesności, który już niejedno o Brzozowskim napisał i jeszcze napisze, a tu, w „Konstelacjach” [których jest współredaktorem] publikuje studium „Pamiętnik Stanisława Brzozowskiego i Pamiętnik Janusza Korczaka, wstęp do paraleli”. Pisząc o tym do Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego, zanotowałem: „Wstrząsające jest to przeniesienie czasu: Stanisław Brzozowski, umierając w roku 1911 w pięknej Florencji, miał lat 33, Janusz Korczak, ginąc w roku 1942 w strasznej Treblince, przeżył przyjaciela o lat ponad trzydzieści. Brzozowski na obczyźnie śmiertelną chorobą złożony mógł jedynie marzyć o wolnej ojczyźnie, Korczak, doczekawszy się wolnej Polski, przetrwał jej niepodległe blaski i cienie, by paść wraz z nią w kolejnej wojennej hekatombie. Obaj udrczeni cierpieniem duszy i ciała, pierwszy skazany okrucieństwem swoich, drugi przez antysemitką nienawiść najeźdźcy. Pierwszy usilnie poszukujący ostatecznego klucza do absolutu, drugi z uporem broniąc przed zagładą swoich podopiecznych. Obaj do ostatniej chwili z pisarską wizją dzieł i pracy na dziesiątki lat.” I cytuję Mencwela: „Aforystyczna celność zdań poszczególnych, analityczna trafność fragmentów rozwiniętych, intelektualny rygor kwestii filozoficznych, stanowią oczywiste przeciwieństwo dykcji i stylu rozgadanych pamiętników sarmackich”. Sądzę, że jest to bardzo ważna uwaga do tej paraleli, w porę przypominająca, że pewne formy konstatacji przechodzą do historii jako oczywistość, gdy inne oczekują pracy nad wytworzeniem klucza do zrozumienia tych złóż egzystencjalnych życia codziennego twórcy, bez których nie da się pojąć jego dzieła.

Uświadamianie sobie, że mądrością nie jest wiedza, lecz jej zrozumienie, nie jest nowe, potrzeba jego przypomnienia powraca jednak, ilekroć zatrzymujemy się nad jakimś nowym źródłem na szlaku ku prawdzie. W „Konstelacjach” ten niesłychanie nośny u Brzozowskiego wątek pojawia się szczęśliwie już w pierwszej części książki, u p. Elizy Kąckiej we Wprowadzeniu do pracy o „Dojrzałości dziejowej w myśli Stanisława Brzozowskiego i Cypriana Kamila Norwida”. Mowa tam jest o historii, naszej wielkiej nauczycielce, która „nie jest tylko wiadomością, ale i siłą”, cytuje za Brzozowskim i wyjaśnia, że chodzi tu o „siłę biorącą się z historii rozumianej”. Rozsnuwa to następnie na filozofię, zestawiając jej różne rozumienie, jak u Hegla i Vica, jak też u Brzozowskiego i Norwida.

Wprowadzony tu szerzej Vico objawia się nam wizją człowieka samostwarzającego się, co było już tak bliskie Brzozowskiemu, iż zapragnął tę ideę i jej autora pilnie przyswoić filozofii polskiej, by zechciała ją wreszcie zrozumieć i umiała „wprowadzić głębiej w rzeczywistość”.

Wkraczamy tu na teren myśli uwyrażnionych patriotyczne, kierowanych ku wysiłkom, by tę wielką kwestię antropologiczną przybliżyć zarówno Polsce, jak i rozumieniu człowieka ogarniętego intencjonalnie potrzebą rozliczeń ideowych z ojczyzną. Nie tylko bowiem sławny Gianbattista Vico objawił się Brzozowskiemu we Włoszech, to był doprawdy cały świat nowych spotkań i doznań, rzekłbym, najważniejszych w życiu młodego, dojrzewającego ku samodzielności filozofa, niestety, od razu skażonych doświadczeniem Hioba. Nie zostało to tak podjęte przez bodaj żadnego z autorów „Konstelacji...”, ale rozważania p. Ewy Ihnatowicz konfrontujące Brzozowskiego z Kraszewskim ustanawiają tę kategorię uwarunkowań w nieoczekiwane ekspresyjnym polu „geograficznej przestrzeni rodzimej i pozapolskiej”. Wprawdzie pominięto tu wnioski merytoryczne z usytuowania wychodźstwa obu pisarzy w tym samym kraju [„zważywszy powszechność podróży do Włoch w XIX wieku”], ale podkreślenie, że „dla obu Włochy stały się przestrzenią ostatnią, gdy każdy z nich zmagał się ze śmiertelną chorobą” ma swoje wielorakie konsekwencje. I tu – podobnie jak Mencwel przy okazji Korczaka – autorka zestawia ze sobą dwa dokumenty życiorysowe, porównując losy obu pisarzy oskarżonych o zdradę i powołując się na ich katolicki modernizm.

To pojęcie-potknięcie pojawi się ponownie w kolejnym studium książki, przy omawianiu relacji Brzozowskiego z Aleksandrem Świętochowskim. Dawid Maria Osiński, choć

wikłając modernizm w otoczkę etyczną [„etyka wykluczenia” i „nonkonformizm etyczny”], wynosi swoje rozważania na poziom strukturalny, ponadrzeczywisty, ku „fenomenom kulturowym”, gdzie „struktura oznacza jednak nie warstwowy, palimpsestowy sposób widzenia, ale w obu przypadkach koncentryczny, horyzontalny, rozrastający się i nawrotowy”. Ot co. Język wywodu staje się niepospolitą łamigłówką w przestrzeni, jak powiada krytyk, „próbowania – pytania i kluczenia”.

Zasypują nas ci dzielni, rozfilozofowani badacze - niczym ze szkoły „Krytyki Politycznej” – erudycja analityczną wręcz imponującą. „Pytania i kluczenia” również w kolejnych pracach tematycznych [Brzozowski a – Sienkiewicz, Chlebowski, Przybyszewski, Miriam, Irzykowski, Żeromski, Wyspiański, Kasprówic, Abramowski, Nałkowski, Otwin, Feldman, Kelles-Krauz, Zdziechowski, Conrad, Newman], stają się, zaiste, kroniką uważnej myśli historycznej, a – przepuszczone przez filtr współczesnej wiedzy i świadomości uczestników sympozjonu – współtworzą niezbędną jakość eseistyczną dla potrzeb kultury nie tylko uniwersyteckiej. Jest to swoisty „spór o filozofię człowieka”, czasem nazbyt Polaka, zawsze przez Brzozowskiego, w którym źródło życia okazało się silniejsze niż śmierć.

Zadaniem zebranych ty komentatorów, ambitnych, widzących świat, nie tylko Brzozowskiego, we własnej interpretacji, było, jak sądzę, ożywienie wielkiej konstelacji myśli kreacyjnej charakteryzującej czas miniony, lecz jakby z nieustającą nadzieją na potencję zgłobalizowanej etyki czasu współczesnego. Aż po ryzykowną pewność swoich racji, jaką demonstrował nieraz Brzozowski, a z czego opanowaniem dziś nie może sobie poradzić również środowisko „Krytyki Politycznej”. Dyskursywność wywodów zalecała sięganie po dokumentację o podobnym charakterze. Znalazło się zatem miejsce na ciekawe teksty o „sabotowaniu własnej tożsamości” w rozważaniach porównawczych Joanny Stryczyk o Brzozowskim i Feldmanie, którzy – z rozbieżnych gniazd rodzinnych startując – „próbowali przezwyciężyć własne pochodzenie”; o wiernej przyjaźni Brzozowskiego z Ortwinem p. Katarzyny Sadkowskiej, o furii, „z jaką Brzozowski zaatakował tradycyjny model polskości” Daniela Zycha, a zwłaszcza na apologetyczną relację Macieja Urbankowskiego o nieoczekiwanym „powrocie” do katolicyzmu tego naszego polskiego Hioba.

Nad tą ostatnią kwestią zatrzymam się na chwilę, gdyż każe nam tu zauważyć kilka dodatkowych tematów zawężlonych wokół. Niektóre z nich pojawiają się w „Konstelacjach...” krótkimi migawkami, jak np. sprawa Mochnackiego i jej projekcja na wartości narodowe polskości, jak socjalizm Brzozowskiego w nieustannej polemice ze światem myśli i pracy, jak wpływ środowiska florenckiego na włoskie wybory polskiego filozofa. Te wybory i zauroczenia rychło objęły całą Europę, z piśmiennictwem angielskim włącznie. Ale najpierw zawładnęła nim potężna włoszczyzna – Bruno, Vico, Pareto, Labriola, Gramsci, także literacka, jak Leopardi, Carducci, Croce... O krok byli Francuzi z Sorelem jako ważną zapowiedzią syndykalizmu, blisko wciąż byli Niemcy z Kantem, Heglem, Marksem, Engelsem, wreszcie Rosjanie... Chciałoby się rzec, o dziwo, „wszak właśnie się wymknął z pułapki „zruszczenia duszy”, co mu zarzucano po płomiennych „Płomieniach”. Tu, na zachodzie, daremnie zacierał ślady swoich rosyjskich uwikłań, ich sieć myśli i działań rozrastała się nazbyt pobudzająco na całym kontynencie i to w rozległej skali – od prawosławia wnoszącego tu swoje cerkwie, po filozofię, literaturę i ogniska rewolucyjne.

Dysonanse i kolizje towarzyszą tutaj zarówno samej pamięci, jak i wrzeniu sprzeczności w formowaniu się nowej świadomości tyleż narodowej, co eschatologicznej w podnieconym cierpieniem umyśle umierającego wśród piękna młodego filozofa. Dotyczy to i nas samych, rozpoznających historię, gdyż nic tu nie jest obiektywne, wszystko jest zawieszona na rozchwianych przesłankach interpretacji wciąż niepewnych drogowskazów. Człowiek oddający się Kościołowi na łożu śmierci nie musi być biologicznym lub spiskowym tchórzem podsztyty, ale i prekursorski zachwyt nad Newmanem nie wypełnia po brzegi eucharystycznym winem duszy spragnionej prawdy. Nie do końca przystaje na ten przechyl przeciwko sobie, nie może się skreślić z przyszłej przeszłości... Nawet najmądrzejsza dyskursywność akademicka potrafi tu zgrzeszyć ograniczeniem wyboru i nieodzownej selekcji, tu – pozostawiony na uboczu Witold Klinger mógłby wypełnić „czarną dziurę” konstelacji, ale poprawność patriotyczna zakazuje tego – Stanisław Brzozowski nie pozwoli skazić się prawosławiu. Ani przetrwać w sobie przyjaźni z rosyjskością, reprezentowaną przez trzech zbuntowanych

jej przedstawicieli, takich jak Gorki, Łunaczarski, Bogdanow, z którymi Polak podejmuje współpracę, a we Florencji właśnie, gdzie się z nimi spotyka, prowadzi długie, nocne Słowian rozmowy... Jest więcej tajemnic w tym mieście, w jakie dopiero Leopold Brzozowski jest wprowadzany, ale i to przez pisarzy-narratorów jedynie, bo w imię wyobraźni nieodzownej na manowcach ducha. Przychodzą mi na myśl twórcy nie do zapomnienia, już nie mówię o eseistycznym Miłoszu /o nim tu znajdujemy ważne uwagi/ czy wspomnieniowym Zawieyskim, ale Terleckiego z jego powieścią „Zwierzęta zostały opłacone” mi żal... Gdzieś na podobnych złączach imaginacji i dokumentu ożywa i moja pamięć o mitach Hioba czy legendzie Wielopolskiego. I powracają Rosjanie z kłębem ich niespokojnych myśli splątanych z polskością. Nazbyt często, symptomatycznie zapominanych.

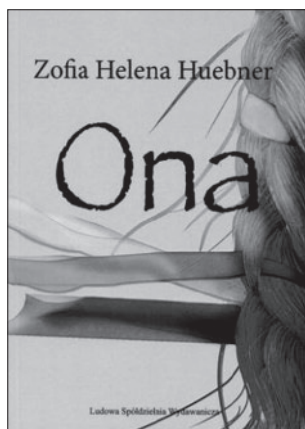
Wprawdzie, bądźmy czasem sprawiedliwi, Dariusz Trzeźniewski w swoim szkicu o Janie Kasproviczu jako „lirycznym patronie” religijności próbuje podjąć ten temat i zauważa, że „Brzozowski patrzy na Rosję i prawosławie przez literaturę Fiodora Dostojewskiego”, dodając Tolstoję i historię jako przeciwagę, ale wygląda to skromnie, skąpo i nazbyt trwa w kanonie.

Spokojny osąd tamtej rzeczywistości dziś nie wystarcza. Ta wielka konstelacja myśli wokół Brzozowskiego pozostaje wciąż dalece niekompletna i bodaj nigdy nie straci swojej wartości ruchu ku pełni i prawdzie. Zaproponowana w książce „Konstelacje Stanisława Brzozowskiego” kompozycja mnogości jest pięknie koncertowa, „pisarz został potraktowany poważnie”, jak zapowiedziały w „Słowie wstępnym” panie Ewa Paczoska i Urszula Kowalczyk, ani „nie zapomniano o jego, naznaczonym pasją, trudem i cierpieniem, człowieczeństwie”, stając się w powszechnej Brzozowskiego konstelacji wiedzy, zbliżeń i rozumienia bogatym, ani chybi, uzupełnieniem. Raduje nas zatem ta publikacja, acz przypomina, że gdy na niebie nauki rozjarzają się wciąż nowe gwiazdy, ziemia pozostaje mroczna i ciernista.

Eugeniusz KABATC

Zofia Helena HUEBNER _____

ONA, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2012.



Pamięć i świadectwo

Opowiem o książce zaskakująco przenikliwej w portretowaniu głównych osób dramatu, a jednocześnie nie szukającej głębszych przyczyn ich zachowań.

Bohaterkami są utalentowane kobiety aspirujące do karier naukowych lub artystycznych. Ich antagonistami są mężczyźni, zwłaszcza ci, co władają strukturami kościelnymi. Nielepsze są uzależnione od nich kobiety. To ich ofiary bez względu na to czy okoliczności historyczne wyniosły je do pełnienia znaczących ról (np. profesorki uniwersytetu lub przeorowszy) czy tylko powielają role powszechne: matki, teściowej, rywalki.

Bohaterką powieści, o której opowiadam, jest Nicole Cleber, postać wyjątkowa, właściwie zjawiskowa. Talent zagadkowy jak kometa pojawiająca się rzadko, obdarzona blaskiem, który fascynuje albo też napawa lękiem. To nie pierwsza taka osoba w dziejach. Opowieść o niej poprzedza głośny fragment „Historii Kościoła” Sokratesa Scholastyka o Hypatii, lecz powieść *Ona* oparta jest na faktach realnych i współczesnych, dlatego czytelnik może a właściwie powinien wierzyć w autentyczność bohaterki, jej niezwykły talent, dramatyczne przeżycia „zawinione” jedynie wolą, by żyć zgodnie z prawem do rozwinięcia swego talentu. Heroina, podobnie jak aleksandryjski pierwowzór też ginie, ale nie z rąk fanatycznego tłumu,

hierarchów i elit Aleksandrii, ale także głównie Krakowa czy również Paryża, Rzymu i Wiednia..., ginie w wyniku podstępного zamachu dokonanego rękami najbliższych. Można powiedzieć, że powieść ta opowiada o świecie odrażonych dzieci i toksycznych, zniechęconych matek. Oskarżenie tak brutalne wymagało pisarskiej odwagi. Przeprowadzono je tak, by czytelnik nie mógł zareagować obojętnością. Słyszysz przecież w tym oskarżeniu ostrzeżenie skierowane do niego. W miarę lektury nie następuje jednak akt solidarności z bohaterką.

A powinien, bo ona nie chce przecież wiele. Interesuje ją nauka i możliwość pracy. Podejmuje się każdej pracy, by się utrzymać i wspomóc matkę. Przyczyny wszak jej niezrozumienia i niepowodzeń przedstawione zostały z prostotą wywołującą wątpliwości. Zdolność do realistycznego postrzegania zostaje w tej scenie i w wielu jej podobnych użyta do sformułowania oskarżenia. Jest ono jakby obowiązkiem utalentowanej obserwatorki. Powinna demaskować, jeśli nie chce sprzeniewierzyć się wybranej dla siebie roli. *Ona* nie waha się przed ryzykiem. Gdy po upokarzających doświadczeniach z pobytu w rzymskim klasztorze opuszcza go ratując młodą zakonnicę australijską, przeorysza usłyszy w odpowiedzi na swe groźby i potępienie: „To Wielebna Matka stwarza piekło i stanowi w nim najwyższą władzę”.

Zanim przedstawię pewne konkluzje zauważę, że w książce nie ma jałowego antyklearykalizmu. Jest raczej niezający kompromisu spór o czyste relacje między głoszonymi ideami, a modelowaną na ich podstawie rzeczywistością. Druga, nazwijmy ją laicką stroną, spotyka się z ocenami równie kategorycznymi. Autorka przeprowadza dychotomiczny podział na metropolię i prowincję. Traktuje ten podział jako hierarchiczny. Rozpaczliwie broni swego i najbliższych przyjaciółek prawa zostania w metropolii, bo poza nią grozi im życiowa klęska, lecz w metropolii, mieście dużym i zamożnym, „nie znalazł się kąt dla samotnej dziewczyny. Znała tylu bogatych ludzi dla których pracowała szybko, tanio i sprawnie”. Nie była im jednak potrzebna. A działo się to nie gdzieś tam w odległej przeszłości lecz na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku.

Tak oto giną najciekawsze z utalentowanych kobiet, ale powtórzę, opowieść ciekawa w sztuce portretowania bohaterki pozostała niepełna w diagnozach. Czytelnik pozostaje człowiekiem chłodnym. Stało się tak chyba z dwóch powodów. Autorka wierzy, że oskarżanie użytkowników idei o nierzetelne ich traktowanie, o stosunek interesowny a nawet cyniczny wywoła w czytelniku bunt, lub nawet gotowość naprawy świata. A tak się nie dzieje i dziś dziać się nie może nie tylko dlatego, że czytelnicy to ludzie pokryci bliznami dwóch wojen światowych. Przyczyna tkwi w tym, że przeżyliśmy nie tylko serię ludobójstw, łagry i łagry, ale przeżyliśmy Holokaust wszystkich, bez wyjątku, ideologii świeckich i religijnych, politycznych i moralnych. Odbudowa idei, także w konsekwencji złudzeń transformacyjnych wymaga powrotu do swoistego pozytywizmu intelektualnego, a nie łatwych romantycznych potępień i moralnych manifestów, które uznajemy za wartość.

I jeszcze dwie refleksje sumujące: ta książka jest zapisem pamięci o mijającym czasie i jest wyprowadzeniem z tego czasu wielu myśli o wadze kobiecości, jako o wartości tyle wielkiej co niedocenianej; i ta książka jest świadectwem moralnego protestu wobec tych wszystkich, którzy uważają się za posiadaczy jedynej prawdy i przypisują sobie cnoty nieomyłności, a dobro wspólne traktują jako im na klęczkach jedynie należne.

Władysław LORANC

W CZASOPISMACH

W chwili oddawania tego numeru do druku ukazała się wiadomość o porozumieniu osiągniętym pomiędzy rządem a Episkopatem w sprawie likwidacji Funduszu Kościelnego i zastąpienie go dobrowolnym odpisem podatkowym w wysokości 0,5 proc.



„GAZETA WYBORCZA” (numer z 22 lutego 2013), informując o porozumieniu, przypomina, że Fundusz Kościelny powstał w 1950 r. po przejęciu przez państwo „dóbr martwej ręki” (nieruchomości były często przekazywane Kościołowi w testamentach, stąd nazwa) Miał być rekompensatą za przejęty przez państwo majątek Kościoła. Z Funduszu,

na który składała się wpłata z budżetu państwa w wysokości około 90 mln złotych rocznie, opłacano m.in. składki na ubezpieczenia społeczne i zdrowotne zakonników klauzurowych i misjonarzy, a w 80 proc. pozostałych duchownych, którzy nie są inaczej ubezpieczeni (jak np. kapelani i kate-

Dokończenie z III str. okładki

KRONIKA

Z obrad Prezydium Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego

W Warszawie, 20 lutego 2013 r., pod przewodnictwem prezesa prof. Jerzego J. WIATRA obradowało Prezydium Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.

Prezydium omówiło i przyjęło do zrealizowania w tym roku trzech konferencji problemowych poświęconych: źródłom, przejawom i sposobom przeciwstawienia się ekscesom nacjonalizmu czy ksenofobii oraz antysemityzmu w Polsce; kwestiom przestrzegania przez demokratyczne państwo prawa zasady jego neutralności światopoglądowej oraz analizie porównawczej miejsca i roli Kościołów w Europie Zachodniej i w Polsce. Konferencje te czy debaty panelowe będą zorganizowane przy współpracy z Fundacją im. Róży Luksemburg w Polsce. W kolejnym punkcie obrad Prezydium zapoznało się z informacją o sytuacji i planach redakcji „RES HUMANA” w 2013 r., przyjmując z uznaniem inicjatywę zmierzającą do niezakłóconego wydawania czasopisma. Zebrani omówili też kwestie związane z zapewnieniem Radzie Krajowej i redakcji „RES HUMANA” ciągłości działania wobec koniecznych zmian w ich dotychczasowej lokalizacji.

Prezydium Rady Krajowej dokonało oceny obecnej sytuacji społeczno-politycznej w kraju wskazując na wiele istotnych zagrożeń dla warunków życia i pracy obywateli w obecnym roku wynikających z trudności gospodarczo-finanсовых państwa oraz nie malejących konfliktów politycznych. Uznano za celowe podejmowanie działań obniżających poziom konfliktów i rozwijających inicjatywy dialogowe na wszystkich poziomach życia publicznego w naszym kraju.

W CZASOPISMACH c.d. ze str. 52

checi) sumie jest to ponad 23 tys. duchownych różnych wyznań. Z pieniędzy Funduszu była też finansowana działalność dobroczynna Kościoła oraz konserwacja zabytków sakralnych.

W wyniku porozumienia wszystkie te wydatki mają być finansowane z dobrowolnego odpisu podatkowego, w sposób podobny do tego, jaki od lat jest praktykowany w wielu krajach europejskich. Według różnych szacunków, wpływy Kościoła mogą być mniejsze w pierwszych latach funkcjonowania odpisu (poczynając od 2014 r.,) w związku z czym przewidziano możliwość dopłat ze skarbu państwa, ale mogą też osiągnąć wielkość 140 mln złotych.

Komentując osiągnięte porozumienie przedstawiciele państwa i Kościoła zgodnie podkreślają, że jest ono wynikiem mądrego kompromisu, który może i powinien sprzyjać polepszeniu wzajemnych stosunków obu stron porozumienia w interesie społeczeństwa i państwa. „To bardzo nowoczesne rozwiązanie – mówił z kolei o porozumieniu min. Michał Boni, jego najważniejszy współautor – pozwala, by Kościoły rozwijały swoją działalność wspierane przez tych, którzy świadomie dokonują takiego wyboru”. Do tego zwłaszcza aspektu osiągniętego porozumienia powrócimy w następnym numerze naszego czasopisma.

Przy sposobności odnotujmy też inne wydarzenie z ostatnich dni: to włączenie się Aleksandra Kwaśniewskiego do głównego nurtu polskiego życia politycznego poprzez podjęcie próby budowania szerokiej platformy centrolewicowej jako alternatywy wobec obecnego kształtu sceny politycznej zdominowanej ostrym konfliktem pomiędzy dwoma odłamami postsolidarnościowymi ze wszystkimi tego wysoce ujemnymi następstwami dla całokształtu polskich spraw. Do tej problematyki powrócimy także w następnym numerze „RES HUMANA”.

Ponadto zachęcamy do lektury czasopism, których tym razem tylko winyety zamieszczamy obok.

**FORUM
WOLNEJ
MYŚLI**



PRZEGLĄD

Wybór i opracowanie **Ksawery S. PIWOCKI**

Na rozdrożu – w bezdroża?

Dokończenie z s. 46

tradycyjnej obyczajowości wieśniaczej z nowymi usposobieniami społeczno-politycznymi) przedstawić ówczesną koegzystencję „starego” z „nowym” w powieści *Przygody człowieka myślącego*. Nie posunęła się jednak w realizacji tego ryzykownego zamierzenia poza parę pierwszych rozdziałów. Domino staje właśnie w obliczu podobnego wyzwania: bohater jego powieści wkracza w wiek już nie tylko seksualnej, ale umysłowej dojrzałości (dojrzałość uczuciową zdaje się osiągać u boku dziewczyny poznanej niemal w przeddzień oficerskiej promocji). Z paru rozmów, jakie z nim prowadzono w „szkole prokuratorów” wynika, że zaczynała go niepokoić poważniej jedna tylko sprawa: zarysowująca się już w okresie jego oficerskiej nominacji – perspektywa kolektywizacji rolnictwa. Niepokój ten pogłębiało w młodym prokuratorze zatroskanie ojca możliwością utraty dopiero co „odzyskanej” ziemi. W kluczowej rozmowie z jednym z przełożonych – „politrukiem” nadzorującym elewów kursu prokuratorowskiego – Staszek Dolina deklaruje, że nie ma nic przeciw spółdzielczości rolnej („coś niecoś” słyszał o duńskich kooperatywach rolniczych), byle to nie wyglądało tak, jak w Związku Radzieckim! „Politruk” nie gorszy się tym zwierzeniem, zaczyna „wychowanka” uspokajać dość ogólnikowymi sloganami. Ale nie blokuje bynajmniej jego awansu – jest widać przekonany, że – jak to wówczas mawiano w tymże środowisku – „ludzie dojrzewają” ideologicznie i politycznie! I skieruje Staszka do pracy w którejś z prokuratur wojskowych, które otwarcie uznawały za swe pierwszoplanowe zadanie walkę z „wrogimi knowaniami reakcyjnymi”, i to nie tylko w środowisku wojskowym.

Budzący w czytelniku żywe zainteresowanie proces formowania się osobowości i postawy bohatera powieści – a właściwie całego cyklu powieściowego Zbigniewa Domino – jest oczywiście wynikiem pisarskiej wnikliwości i rzetelności poznawczej autora, za które należy mu się wdzięczność. Nie zawaham się twierdzić, że w stosunkowo skromnym dorobku epiki polskiej w drugiej połowie wieku XX, i pierwszej dekady wieku XXI, cykl Zbigniewa Domino zajmuje miejsce poczesne. W niniejszej garści refleksji, wzbudzonych lekturą ostatniego (jak dotychczas!) ogniwa tej epepei ograniczam się do uwypuklenia tej wiedzy o kształtującym się społeczeństwie powojennej Polski, jaką zawiera w sobie trylogia Zbigniewa Domino. A także do wysunięcia pewnego, nurtującego mnie od dawna pytania: co by się działo w Polsce, gdyby nie doszło do paroletniego zawirowania wywołanego próbami wprowadzenia w naszym chłopskim kraju kolektywizacji *rolnictwa à la manière soviétique*, czemu sprzeciwiał się zresztą nie będący skądinąd mým idolem Władysław Gomułka?

Czy doczekamy się nowej książki Zbigniewa Domino drążącej ten ważki a niespenetrowany przez literaturę rozdział powojennej historii naszego kraju?

